

Andrzej Stanisław Kowalczyk

Jerzy Stempowski - Iwan Senkiw : dzieje przyjaźni

Archiwum Emigracji : studia, szkice, dokumenty 56, 85-118

2002/2003

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

JERZY STEMPOWSKI — IWAN SENKIW DZIEJE PRZYJAŹNI

Andrzej Stanisław KOWALCZYK (Warszawa)

Adresat listów Stempowskiego, dr Iwan Senkiw, był uczniem i przyjacielem pisarza. Urodził się w 1913 r. w rodzinie ukraińskiej we wsi Pobereże w powiecie stanisławowskim. Ukończył gimnazjum ukraińskie w Stanisławowie, a następnie studiował etnografię na Uniwersytecie Warszawskim. Tytuł magistra filozofii otrzymał w roku 1938 na podstawie pracy pt. „Grażda huculska”, napisanej pod kierunkiem prof. Cezarii Baudouin de Courtenay. Podczas wojny pracował w Muzeum Etnologicznym w Berlinie. Po wojnie pracował jako tłumacz w konsulacie amerykańskim w Hamburgu. W 1952 przeniósł się do Dortmundu w Westfalii, gdzie otrzymał pracę w bibliotece naukowej. Wynikiem studiów nad etnografią Huculszczyzny była książka *Die Hirtenkultur der Huzulen* (Marsburg 1981), Kultura pasterska Huculów.

W liście do piszącego te słowa, datowanym 16 stycznia 1992, dr Iwan Senkiw opisał dzieje swojej znajomości z Jerzym Stempowskim i Stanisławem Vincenzem:

„Będąc uczniem siódmej klasy gimnazjum, miałem szczęście być zaproszonym na zebranie sympatyków panidealizmu szwajcarskiego filozofa i psychologa Rudolfa M. Holzapfla (1874–1930), które odbyło się w 1932 r. w Stanisławowie w jednym hotelu z inicjatywy głównych kaznodziei panidealizmu: St. Vincenza i Izydora Blumenfelda ze Lwowa¹.

Vincenz nakreślił optymistyczne cele nowego Towarzystwa w Galicji Wschodniej, które mnie się bardzo podobały. On mówił, że centrala Międzynarodowego Towarzystwa Panidealistów znajduje się w Szwajcarii, jego członkowie są publicystami, ludźmi nauki i kultury. Chodzi mu głównie o nawiązanie bliskich stosunków z inteligencją narodów europejskich i twórczą współpracę. Pod koniec zebrania St. Vincenz zwrócił się do mnie

¹ Izydor Blumenfeld (zm. 1944), przemysłowiec, właściciel fabryki farmaceutycznej „Laokoön” we Lwowie; z wykształcenia matematyk, biograf Newtona. Wraz z Vincenzem przełożył *Wszechideal* Rudolfa Marii Holzapfla (Warszawa 1935). Na temat fascynacji St. Vincenza panidealizmem zob.: A. St. Kowalczyk, *Stanisław Vincenz — Rudolf Maria Holzapfel*, [w:] *Studia o Stanisławie Vincenzie*, red. P. Nowaczyński. Lublin 1994 s. 49–62. [Wszystkie przypisy — Andrzej Stanisław Kowalczyk].

z propozycją, żebym odwiedził go podczas wakacji w Słobodzie Rungurskiej pod Kolo-
myją na Podkarpaciu w powiecie kołomyjskim. Chętnie skorzystałem z zaproszenia i po-
jechałem pociągiem do Słobody Rungurskiej, kopalni naftowej, która była własnością za-
rządcy kopalni, i pani Lena Vincenzowa, z pochodzenia Rosjanka z Krymu, pierwsza
żona pana Stanisława Vincenza, z którą wziął rozwód. Z czasem S. Vincenz zapoznał
w Warszawie Polkę, pannę Irenę, wziął z nią ślub i zamieszkał w Warszawie. Z pierwszą
żoną miał on jednego syna, którego posłał do szkół do Anglii. Z Ireną miał dwoje dzieci:
Andrzeja i córkę Barbarę.

W Słobodzie mieszkała w dużym domu pani Lena przez cały rok sama, tylko ze służ-
bą. Latem i na Boże Narodzenie zajeżdżał do Słobody pan Stanisław, gdzie miał swoje
mieszkanie. Wtedy przybywali do Słobody też goście, których zapraszał. I goście pani
Leny. Pan Stanisław bywał w Słobodzie tylko parę tygodni i wracał z powrotem do swej
rodziny w Warszawie albo do Bystrzeca w Czarnohorze, gdzie miał własny dom drewnia-
ny w huculskim stylu. Tutaj przebywała pani Irena ze swoimi dziećmi, przeważnie latem.
Tu zajeżdżali też goście pana Stanisława. Raz spotkałem tutaj dwie młode pary z Anglii,
innym razem przywitał mnie w Bystrzecu dr Blumenfeld.

W Słobodzie przywitała mnie pani Lena bardzo mile i przedstawiła swoim gościom,
wśród których zapoznałem państwa Rettingerów z Warszawy i ich przyjaciela pana Jerze-
go Stempowskiego². Od tego czasu gościłem w Słobodzie na prośbę pani Leny prawie co
roku latem i na Boże Narodzenie. Za każdym razem spotykałem tutaj pana Jerzego ze swą
przyjaciółką panią Wichuną, z którymi często rozmawiałem i chodziłem na spacer. [...] W
Słobodzie pan Stanisław czytał nam dwóm *Panideal* Holzapfla i tłumaczył na język
polski. Nasze filozoficzne rozmowy przeciągały się nieraz nawet do drugiej godziny po
północy. W tym czasie pan Stanisław pisał swój utwór *Na wysokiej połoninie*. Świeżo
napisane rozdziały odczytywał sam głośno wszystkim gościom. Nieraz wędrował on po
wsiach huculskich i brał mnie ze sobą. Jednego razu pojechaliśmy taksówką do Riczki
obok Kosowa. Tutaj odwiedziliśmy płka Okołowicza, który zbierał eksponaty huculskie
dla muzeum Towarzystwa Przyjaciół Huculszczyzny. Pierwszy raz miałem okazję oglądać
piękne wyroby przemysłu domowego Huculów.

Gdy zdałem maturę, Vincenz wystarał się dla mnie stypendium, posłał mnie do War-
szawy i poradził studiować etnografię Huculszczyzny. Wprawdzie stypendium było
skromne, tylko 60 złotych na miesiąc, ale lepiej jak nic. Podczas studiów uniwersyteckich
nie zerwałem swoich kontaktów ze Słobodą. Była ona dla mnie przepiękną oazą to-
warzyskiej kultury i międzynarodowej przyjaźni. Tutaj spotykałem inteligentnych ludzi
różnej narodowości prawie ze wszystkich krajów Europy. Jedni rozmawiali po polsku,
inni po niemiecku, angielsku, żydowsku i francusku.

W Słobodzie zaczęła się moja przyjaźń z panem Stempowskim i trwała aż do jego
śmierci w 1969 r. Miał wrodzony talent zabawiania swych znajomych rozmową towarzy-
ską na różne tematy, którą upiększał paradoksami, ironią i humorem. Był bardzo roz-
mowny i bez znużenia można było go słuchać godzinami. Byłem zawsze pilnym jego
słuchaczem, co się mu bardzo podobało. To było pierwsze ogniwo naszej przyjaźni.
Wszyscy autorzy poważnych artykułów o Stempowskim stwierdzają, że był ukrainofilem.

² O Ludwice i Mieczysławie Rettingerach i Stempowskim zob.: A. St. Kowalczyk, *Nieśpieszny
przechodzień i paradoksy. Rzecz o Jerzym Stempowskim*. Wrocław 1997. Rozdział pt. *Moja ojczy-
zna jest dniesztrowym jarem, stepem porośłym burzanem...*; także: H. Micińska-Kenarowa,
O Jerzym Stempowskim, [w:] B. Miciński, J. Stempowski, *Listy*, oprac. A. Micińska, J. Klejnocki,
A. St. Kowalczyk. Warszawa 1995.

Urodził się na Ukrainie³, tam wyrastał na chlebie ukraińskim. Miał wrodzony sentyment do ukraińskich rodaków. Myśmy się od razu zrozumieli i odczuli wzajemną sympatię. Będąc jeszcze uczniem gimnazjum, już korespondowałem ze Stempowskim. Pisałem mu o swoich pozytywnych i negatywnych przeżyciach w gimnazjum. On udzielał mi mądrych porad, jak mam się zachowywać w różnych sytuacjach wobec nauczycieli i księży. Jednego lata spędziliśmy wspólnie wakacje w Peczenizynie, gdzie mieszkaliśmy w ładnym pensjonacie trzy tygodnie na jego koszt. Stamtąd wędrowaliśmy do pobliskiego Kosowa na jarmarki i chramy. Innym razem zatrzymaliśmy się w Kosmaczu cały tydzień. Jednego dnia przy pięknej pogodzie poszliśmy na pobliską górę Grahit. Nasza wspólna wędrowka pozostała dla mnie niezapomnianym przeżyciem.

Kultura ludowa Huculów była najsilniejszym węzłem naszej przyjaźni. Mieliśmy wspólne zainteresowania etnograficzne. Podczas moich studiów na uniwersytecie wyjeżdżałem latem na Huculszczyznę celem zbierania materiałów dla mej pracy magisterskiej «Grażda huculska». Były to obronne dwory huculskie, rozsiane po górach. Dziś można je oglądać tylko w muzeum koło Kosowa. Stempowski był zachwycony moją pracą. Jego interesowała architektura starych grazd i zabudowań gospodarczych, które powstały w dawnych czasach dzięki nadmiernemu bogactwu lasu. Wspólnie zwiedzaliśmy stare grazdy w Kosmaczu, Żabiu i w osiedlach pod Czarnohorą, niektóre były już niezamieszkałe, bo nierentowne z braku materiału budowlanego na reperacje. Typowym przeżyciem kultury huculskiej są worynie (ploty) przy drogach pasterskich wiodących na poloniny. Rezultatem naszych wspólnych badań w terenie jest moja praca etnograficzna w języku niemieckim pt. *Der huzulische Hof*, która ukazała się w roczniku «Volkswerk» w 1942 roku w Jenie.

Nie zgadzam się z twierdzeniem W. Zbyszewskiego, że Stempowski był egoistą, «że nigdy dla nikogo palcem nie kiwnął»⁴. To nie jest zgodne z prawdą, przeciwnie Stempowski był wielkim altruistą. Oto parę przykładów. W Warszawie mieszkał Stempowski u państwa Rettingerów, gdzie zajmował mały pokój, ale opłacał całe mieszkanie, światło, wodę i służącą za Rettingerów, bo pan Rettinger był bez pracy. Drugi przykład: jednego razu spotkał Stempowski na Huculszczyźnie chłopaka, co pasł krowy przy drodze. Stempowski zainteresował się nim i zaopiekował. Oddał go do gimnazjum w Kołomyi i cały czas opłacał naukę oraz utrzymanie za swego ulubieńca. Z mego doświadczenia: Stempowski publikował swe artykuły w «Wiadomościach Literackich». Z honorarium, jakie mu się należało, zaprenumerował dla mnie «Wiadomości Literackie», które otrzymywałem przez sześć lat. Jednego razu nie mogłem znaleźć w Warszawie dla siebie mieszkania, bo były za drogie. Telefonicznie powiedziałem to mu. Od razu powiedział, że bym się sprowadził do niego, bo państwo Rettingerowie wyjechali do znajomych i mogą korzystać z ich pokoju. Pełne cztery tygodnie żyłem wtedy u Stempowskiego na pełnym jego utrzymaniu. Służąca gotowała nam smaczne obiady. Te fakty wystarczą chyba, że Stempowski nie był egoistą.

Jeszcze jeden motyw naszej przyjaźni. Gdy żyłem w Warszawie, wtedy pani Rettingerowa często zapraszała mnie do siebie. Wtedy we trójkę w nieobecności pana Rettingera spędzaliśmy ładnie popołudnie w niedzielę w pokoju Rettingerów. Często we trójkę chodziliśmy na wernisaże, do teatru, na koncerty i odczyty. Nieraz pan Stempowski brał mnie ze sobą, gdy szedł w gościnę z panią Wichuną do znajomych. Przypuszczam, że robili oni to dla przyzwoitości. Iść tylko we dwójkę z cudzą żoną do teatru lub w gościnę

³ Eseista urodził się 10 grudnia 1893 r. w Krakowie; dzieciństwo spędził w Szebutyńcach i Winikowcach na Podolu.

⁴ W. A. Zbyszewski, *Sceptyk i arystokrata*, Wiadomości 1969 nr 46 s. 1–2.

dawało powód złym językom do plotek i obmowy. Ale we trójkę, z przyjacielem Hucul-szczyzny, to zupełnie co innego.

Stosunek Stempowskiego i jego przyjaciółki Wichuny do pani Leny Vincenzowej w Słobodzie był bardzo serdeczny. Proszę wziąć pod uwagę, że Stempowski i pani Wichuna mieli u pani Leny idealny i luksusowy pobyt i odpoczynek, pierwszorzędne obiady, śniadania przynosiła służąca do łóżka, piękne mieszkanie z łazienką i światłem elektrycznym na łonie cudownej przyrody górskiej i to wszystko za darmo! Pan Jerzy przyjeżdżał do Słobody zawsze z pięknymi podarunkami dla pani Leny i wynagradzał ją komplementami. Nieraz rozmawiali po rosyjsku. Pani Lena mieszkała w mansardowym mieszkanku na pierwszym piętrze. Schody i poręcz do jej mieszkania Jerzy malował olejną farbą co roku na własny koszt, czym sprawiał Lenie ogromną przyjemność.

Obiady odbywały się w wielkiej jadalni o 12 godzinie. Kucharka — Ukrainka — gotowała cudowne obiady. Goście zbierali się w jadalni i czekali stojąco na gospodynię, p. Lenę. Gdy zeszła na dół, wtedy wszyscy mężczyźni podchodzili po kolei do niej, witali, pozdrawiali i całowali w rękę. Tylko Szwajcar Hans Zbinden⁵ ją w rękę nie całował, na co wszyscy goście bardzo się oburzali. Nazywaliśmy go szwajcarskim chłopem. On znał Irenę, prawdziwą żonę Vincenza. Lenę lekceważył, możliwie, jak Rosjankę, która żyła w Słobodzie z łaski Vincenza. Lena koncentrowała całą swoją miłość na synu, który był na nauce w Anglii.

Gdy Stempowski żył na emigracji, a ja w Dortmundzie, wtedy parę razy go odwiedzałem w Muri i w Bernie. W 1954 roku zaprosiłem go by przyjechał do mnie do Dortmundu. Umieściłem go w pobliskim hotelu i od razu zapłaciłem za niego hotel na jeden tydzień. Wtedy dostarczyłem mu informacji do napisania artykułu pt. *Dziennik podróży do Westfalii*⁶. Gdy Stempowski odjeżdżał do Berna, przyszedł do mnie i zwrócił mi wszystkie moje pieniądze, które wpłaciłem za niego w hotelu. Nie chciałem przyjąć. Błagałem go, żeby tego nie robił. Mówiłem mu: «Ależ panie Jerzy, pan tyle dobrego zrobił dla mnie w ciągu naszej znajomości. Proszę dać mi możliwość bodaj troszeczkę odwdziżyć się Panu». Niestety, uparł się i moich pieniędzy nie wziął. Typ szlachetnego arystokraty”.

⁵ Hans Zbinden (1893–1970), pisarz szwajcarski i historyk kultury. Swoje podróże po Polsce opisał w książce *Polen einst und jetzt* (dwa wydania). Pomagał Stempowskiemu w pierwszych latach jego pobytu w Szwajcarii (zob.: B. Miciński, J. Stempowski, *Listy*).

⁶ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Dziennik podróży do Westfalii*, Kultura 1955 nr 1/2 s. 40–55. Przedruk krajowy: J. Stempowski, *Od Berdyczowa do Lafitów*, wstęp i oprac. A. St. Kowalczyk. Wołowiec 2000.

LISTY

1.

1 maja [19]46

Muri (Berne)
Thunstr. 29.

Kochany Panie Janku,

Dziś z rana dostałem od Pana pierwszy znak życia od wielu lat i niezmiernie się cieszę z odnalezienia Pana. Niezupełnie tylko zdaję sobie sprawę z Pańskiej sytuacji. Czy jest Pan w obozie jako D.P.¹? Przez kilka dni byłem gościem takiego obozu w Monachium². Było tam b. źle, ale w zonie angielskiej obozy mają być dużo lepsze. Mnie się tam osobiście b. podobało, bo był to obóz przechodni, do którego każdego dnia przyjeżdżali nowi uchodźcy ze Wschodu, od Bałtyku do Adriatyku, i w hallu wejściowym można by pisać kronikę wschodniej Europy. Zdaje się jednak, że tylko mnie jednego ta kronika interesowała. Zachód oddał tę część świata syroidom³ i nawet się nią więcej nie interesuje. U Pana pewnie już tego ruchu przyjezdnych nie ma. Za to jedzenie było w tym obozie tak marne, że każdy musiałby dostać skorbutu, gdyby go przedtem z obozu nie wypędzono na ulicę.

Bardzo chciałbym wiedzieć, jakie były Pańskie koleje od ostatniego listu, który mi Pan przysłał z Berlina w 1941. Czy był Pan potem w naszych stronach? I co Pan tam widział?

Widziałem niedawno jeszcze przyjezdnych z Karpatów i dostaję co pewien czas stamtąd wiadomości, zresztą b. smutne. Wiem, że zeszłego lata i jesieni specjalne oddziały NKWD (*учреждения*⁴) miały swe posterunki nie tylko w Żabiem, Krasnoile, ale nawet na Hołowach, dokąd polska policja nie każdego miesiąca zaglądała. Wielu ludzi tam ostatnio zginęło, zostało wywiezionych albo uciekło do partyzantów. Zniszczenie i zagłada tam wielka. Tylko lasy stoją takie same. Zeszłego lata były tam wielkie walki z partyzantami, ale zdaje się, partyzanci wyszli stamtąd przed zimą, bo od bitwy na Hołowach (lipiec–sierpień) nic o nich nie słyszałem.

Dr. Vincenz jest w Wiedniu i wybiera się gdzieś na Zachód, być może w Pańskie strony⁵. O tem p. Jędrus⁶ będzie najlepiej wiedział. Cała jego rodzina wyjechała przed kilku dniami z Węgier i jest gdzieś w drodze na Zachód.

Czy wie Pan o odnalezieniu się Bazia⁷? Jest w Hamburgu, tam ożenił się. P. Jędrus się z nim widuje.

Bardzo się cieszę, że Pan się ożenił w Holandii. Ja mam tu najbliższych przyjaciół tej narodowości⁸ i myślę, że ten kraj ma jeszcze wielką przyszłość.

Niech Pan często pisze, kochany Panie Janku. Za dwa dni wyjeżdżam na kilka tygodni do Francji, będę tu z powrotem 25 czerwca, ale listy będą mi odsyłać. Najserdeczniejsze pozdrowienia od szczerze oddanego

J.S.

¹ D.P., *Displaced Persons* (ang.) — określenie byłych więźniów obozów hitlerowskich, robotników przymusowych i innych przesiedleńców na terenie byłej III Rzeszy po jej upadku.

² Zob. Stempowskiego *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*, [w:] *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971; *Od Berdyczowa do Lafitu*, oprac. A. St. Kowalczyk. Wołowiec 2000.

³ Syrojdzzi — ohydne „ludotwory” występujące w czwartym tomie *Na wysokiej poloninie* (*Barwinkowy wianek*) Stanisława Vincenza. W korespondencji określenie Sowietów.

⁴ *умпебумелу* (ros.) — tępicieł, niszczyciel.

⁵ Stanisław Vincenz wraz z rodziną wojnę spędził jako uchodźca na Węgrzech. W 1946 Vincenzowie przez Bratysławę przedostali się do Wiednia, gdzie czekał por. Konstanty Jeleński. Przewiózł ich do Quakenbrück w Niemczech, gdzie stacjonowała 1. Dywizja Pancerna gen. Maczka.

⁶ Andrzej Vincenz (ur. 1922), młodszy syn Stanisława Vincenza, językoznawca i polonista, prof. Uniwersytetu w Getyndze. W czasie wojny żołnierz 1. Dywizji Pancерnej.

⁷ Bazyl Przybyłowski, krewny Stanisława Vincenza, którego matka była z domu Przybyłowska.

⁸ Małżeństwo Henri i Dieneke Tzaut — przyjaciele Stempowskiego w Bernie; Dieneke (zm. 1998), pianistka i malarka, była z pochodzenia Holenderką.

2.

Muri, 23 grudnia 1950

G. Stempowski
Thunstr. 27,
Muri bei Bern

Kochany Panie Janku,

Niedługo uplynie 10 lat odkąd Pan znikł z moich oczu. Ostatni Pański list był z Berlina, potem korespondencja urwała się. Ja też Pana nie mogłem do niej zachęcać, bo pisanie do mnie było wówczas dla Pana niezdrowe. Za to od 1945 wiele razy szukałem Pana różnymi drogami. Sam byłem dwa razy w Niemczech, w końcu 1945 i w końcu 1948. Wówczas ktoś mi powiedział, że Pan się ożenił i wyjechał do Holandii. Szukałem Pana i tam przez znajomych. Dopiero dziś dostałem Pański adres od p. Stanisława. Trochę zasmuciłem się, że Pan wciąż jest w obozie tranzytowym, w zawieszeniu, ale ostatecznie w tej chwili nawet i ci, którzy we własnych kamienicach mieszkają, są także w zawieszeniu i niepewności jutra. Nawet tu od kilku dni opanował wszystkich strach i obawa przyszłości.

Szczerze cieszę się, że po tylu latach nareszcie Pana odnalazłem i chciałbym bardzo dowiedzieć się jak najwięcej o Panu samym: co Pan przez te lata robił, jak Pan daje sobie rady teraz i jakie ma Pan plany i pomysły na najbliższą przyszłość. Bardzo mi pilno odnowić naszą dawną przyjaźń.

Zacznę więc od tego, że napiszę Panu o sobie. Wiosną tego roku obchodziłem jubileusz dziesięcioletniego pobytu w gminie podmiejskiej, do której przyjechałem na dwa tygodnie w ostatnich dniach kwietnia 1940. Wędrując, częściowo pieszo, przez Węgry i Jugosławię, zatrzymywałem się wszędzie po drodze, aby pożegnać się z Europą Wschodnią, bo wówczas już miałem świadomość, że jej więcej nie zobaczę. Wędrowałem przez małe miasteczka i wsie, i w wielu miejscach byłbym chętnie został na dłużej, może na resztę życia¹. Kiedy przyjechałem do Muri, wieś podobała mi się średnio. Po dwóch tygodniach, myślałem, będę jej miał dosyć. Miałem jechać następnie do Francji, ale w kilka dni później wojna ogarnęła Francję, i dalej nie miałem dokąd jechać. W ten sposób zostałem w Muri. Co roku wyjeżdżam stąd na parę miesięcy, bo stały pobyt tu nawet i dla miejscowych nie jest zdrowy. Byłem więc kilka razy we Francji, we Włoszech i w Niemczech.

Po 1945 zacząłem dużo pisać i drukować. Większość moich pism ukazała się w paryskiej „Kulturze”. Nie wiem czy Pan ją kiedy widział. Drukowałem także i gdzie indziej, w różnych językach. Wszystko podpisuję nazwiskiem Paweł Hostowiec. Pod tym nazwiskiem otrzymałem nawet nagrodę literacką w Londynie przed kilku tygodniami. Piszę coraz więcej i obecnie mam na warsztacie małą książeczkę o formacji historycznej pejzażu berneńskiego i tom opowiadań². Staram się z tego żyć, ale to mi się nie zupełnie udaje.

Z każdego wyjazdu przywożę jakiś „dziennik podróży”, który potem drukuję. „Kultura” wydrukowała mi już kilka takich dzienników, z Niemiec i Włoch. Wiosną projektuję nową podróż do Niemiec przez Monachium, Stuttgart, Bonn, Heidelberg, Kolonię. Może uda mi się Pana zobaczyć w tej podróży. Bardzo bym się z tego cieszył. Musielibyśmy się naprzód spisać, abym mógł to zawczasu obmyślić.

Ze światem ukraińskim nie straciłem kontaktu. W Niemczech odwiedzałem zarówno A. M. Liwickiego i ośrodek UNR, jak i ośrodek UHWR w Monachium³. W Salzburgu rozminąłem się w 1945 z moim dawnym słuchaczem z Instytutu Teatralnego, Awenirem Kołomyjcem, który później tam zmarł na gruźlicę. Zaprzyjaźniłem się natomiast bardzo z Leonidem Mosendzem⁴, który później leczył się w Szwajcarii na TBC, ale bez powodzenia, bo zmarł też przed dwoma laty. Ilość książek ogłoszonych po ukraińsku na emigracji jest imponująca, wiele z nich nosi znamiona wielkiego talentu. Mosendz i inni autorzy ukraińscy drukowali też w „Kulturze”. Jewhen Małaniuk⁵, który długi czas mieszkał w Regensburgu, wyjechał do Stanów Zjednoczonych. Powodzi mu się tam średnio, i od kilku miesięcy się do mnie nie odzywa.

Wchodzący teraz w okres świąteczny, niedługo zaczniemy nowy rok, przesyłam więc Panu najserdeczniejsze życzenia. Niech mnie Pan będzie łaskaw też symbolicznie przynajmniej przedstawić Pańskiej małżonce, abym i jej mógł ucałować rączki i złożyć najserdeczniejsze życzenia. Bardzo będę się cieszył z wiadomości od Pana, tymczasem całuję Pana, kochany Panie Janku, po przyjacielsku, szczerze oddany
Jerzy Stempowski.

¹ Zob. esej *Księgozbiór przemytników* w tomie *Od Berdyczowa do Lafitu*.

² Esej o pejzażu berneńskim to *La Terre Bernoise* (Librairie E. Droz, Genève 1954). Przekł. polski: *Ziemia berneńska*, przekł. A. St. Kowalczyk, Warszawa 1990.

³ Andrij Liwyckij (1879–1954), polityk, członek rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej atamana Symona Petlury. Następnie prezydent URL na emigracji w Polsce.

UHWR, Ukraińska Wyzwільna Hołowna Rada — ośrodek polityczny na emigracji, powołany jeszcze na Ukrainie w roku 1944 przez UPA i część OUN (banderowców).

⁴ Leonid Mosendz (1897–1948), poeta, prozaik, tłumacz, publicysta. Na emigracji od roku 1920.

⁵ Jewhen Małaniuk (1897–1968), poeta, eseista, publicysta. Oficer armii atamana Petlury; po 1920 na emigracji w Polsce, następnie w Stanach Zjednoczonych.

3.

Monachium, 9 lipca 1951

Metzstr. 12, München 8.

Kochany Panie Janku,

Od przeszło 3 miesięcy jestem w ciągłych rozjazdach, ale dotąd nie jestem pewny, czy Pana potrafię odwiedzić. Wydawca „Kultury”, którą być może Pan zna, i której jestem pilnym współpracownikiem, powziął myśl wydania jesienią specjalnego numeru niemieckiego, poświęconego niemieckiej literaturze ostatniego pięciolecia i zawierającego około stu stronnic antologii. W celu zebrania tych materiałów przyjechałem tu 20 czerwca, ale dotąd mało posunąłem naprzód robotę. Czasopisma francuskie wydały już kilka niemieckich numerów, ale wszystko to były rzeczy przypadkowe, powierzchowne. Wydawało mi się, że potrafię zrobić coś lepszego, bardziej przemyślanego i systematycznego. Teraz widzę trudność tego przedsięwzięcia i przyczynę niepowodzenia poprzedników. Nowych książek nikt systematycznie nie zbierał. Wielkie biblioteki mają zbiory b. zdekompletowane, pochodzenia lokalnego. Żadna nie obejmuje całych Niemiec. Naj-

kompletniejsza znajduje się w Frankfurtach, ale jest mało dostępna z powodu szczupłości lokalu. Dzięki uprzejmości jej dyrektora, prof. Eppelsheimera, będę tam mógł przeczytać to, czego nie znajduję gdzie indziej. Wybieram się tam w końcu miesiąca i — jeżeli uda mi się wyspekulować bilet, przyjadę na jeden dzień do Pana. W Hamburgu są doskonali wydawcy, których być może będę musiał odwiedzić.

Bardzo cieszyłbym się z zobaczenia Pana i nawet byłbym niepokieszony, gdyby mi się to nie udało. Muszę się jednak do pewnego stopnia liczyć z taką ewentualnością, bo z doświadczenia wiem, że najpiękniejsze plany zostają często udaremnione przez niepomysłne okoliczności, wśród których na pierwszym miejscu należy wymienić brak pieniędzy. Jeszcze do Pana o tym napiszę, kiedy się zbliżą terminy.

Jak Pan się miewa i czy w Pańskiej sytuacji nie zmieniło się coś na lepsze? Stany Zjednoczone i Kanada otworzyły teraz szerszą granicę. Czy się Pan tam nie wybiera?

31 marca byłem przejazdem w Grenoble i zaszedłem niespodzianie do dra Vincenza. Zastąpiłem go w otoczeniu rodziny i gości, w pokoju ludzako podobnym do jego pokoju w Słobodzie¹. Nawet książki i fotografie na ścianach były, jeżeli nie te same, to bardzo podobne. Widocznie ludzie, niektórzy przynajmniej, noszą swój dom na plecach jak żółwie lub ślimaki.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła wam, kochany Panie Janku, szczerze oddany Jerzy Stempowski.

¹ W Słobodzie Rungurskiej pod Kołomyją stał dom rodzinny Vincenzów.

4.

Monachium, 28. VII. [19]51

Kochany Panie Janku,

Zdaje się, że tym razem z mojej podróży do Hamburga nic nie wyjdzie. Pan Gennadij jest widocznie sam w rozjazdach, bo się do mnie nie odzywa. Bardzo tego żałuję, bo chciałbym go poznać. Tymczasem moje fundusze wyczerpały się, i jutro lub pojutrze będę zmuszony do odwrotu. Jadę do Muri, gdzie mój adres jest Panu znany: Thunstr. 27, Muri bei Bern. Czeka mnie tam wielka i pilna robota. Niezmiernie żałuję, że te niepomysłne okoliczności nie pozwoliły mi Pana widzieć, ale mam nadzieję, że ta okazja jeszcze się znajdzie, bo do Niemiec będę zapewne jeszcze wracał. Następnym razem zacznę moją podróż od Hamburga, aby na pewno się z Panem nie rozminąć.

Bardzo się cieszę z wiadomości, że Pan pracuje nie bez skutku, nie *pour le roi de Prusse*¹, ale także z pożytkiem dla siebie. Przypuszczam, że ta poprawa losu obudziła u Pana dalsze nadzieje i ambicje.

Jakie ma Pan plany na najbliższy rok? Czy zostaje Pan w Europie?

Czy jeszcze interesuje się Pan etnografią? Przypominam sobie, że nasze ostatnie spotkanie miało miejsce w Prokurawie, gdzie przez dwa dni rozważaliśmy razem różne pomysły etnograficzno-socjologiczne. Czy z Prokurawy zachował Pan jakieś notatki lub wspomnienia? Przedmiot naszych ówczesnych zainteresowań znikł już zapewne z oblicza ziemi, i zostało zeń tylko to, co zachowało się w naszej pamięci. Czy nie sądzi Pan, że jako ostatni świadkowie powinniśmy spisać i ogłosić drukiem to co jeszcze pamiętamy, zanim życie zmyje te resztki z naszej pamięci?

Gdyby Pan zechciał coś o Prokurawie z punktu widzenia etnograficznego napisać, wydrukujemy to w „Kulturze”. Jeżeli Pan woli, moglibyśmy napisać to razem, łącząc nasze wiadomości i wspomnienia w formie dwugłosu, dialogu czy też napisanej wspólnie rozprawy. Zostawiam to do Pańskiego uznania. Byłoby mi bardzo przyjemnie wystąpić

wspólnie z Panem w druku, pisząc o rzeczy, która nas wspólnie pociągała i która jest warta pamięci.

W ciągu najbliższych 2 miesięcy będę zajęty czym innym; jeżeli ten projekt się Panu podoba, musiałby zacząć go Pan, wybrać jego formę i plan, do którego ja bym się jesienią dołączył.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła zawsze oddany
Jerzy Stempowski

¹ *pour le roi de Prusse* (franc.) — dosłownie: dla króla Prus.

5.

19 sierp[nia] [19]51

Muri bei Bern,
Thunstr. 27.

Kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za list z 14-go. Widzę żeń, że Pan ma takie same jak ja kłopoty emigranckie. Obaj jesteśmy oderwani od naszych studiów i książek. Kto wie, czy do nich kiedyś wrócimy. Światu, jaki wyszedł z tej wojny takie rzeczy nie są potrzebne. Od 12 lat — jeżeli w ogóle piszę — czerpię z dawnego kapitału, z tego co, zachowałem w pamięci.

W Niemczech spędziłem 6 tygodni na czytaniu w bibliotekach. Z tego co widziałem i czytałem wyniosłem wrażenie, że książka doszła do pewnego punktu rozwoju, poza którym żadnej przyszłości na razie nie widać. Za 50 lat — a może jeszcze za naszego życia — książka w jej dotychczasowej postaci może zniknąć zupełnie. Zostaną spisy abonentów telefonu, rozkłady jazdy, taryfy celne, romanse kryminalne i to co dziś zastępuje sennik egipski. Na inne druki w naszym stanie cywilizacji miejsca jest coraz mniej i niedługo zabraknie go zupełnie. Wydawcy niemieccy robią podobne przewidywania.

Spieszmy więc, kochany Panie Janku, ze spisywaniem tego co jeszcze wiemy, dopóki istnieje możliwość druku. Bardzo się cieszę, że Panu się myśl naszego dwugłosu podobała. Mając przed sobą bardzo obszerny temat, spróbujmy zrobić tymczasowy plan naszego dialogu. Aby zachować w nim jakiś porządek, najlepiej być może zrobimy, zaczynając od jakiejś miejscowości i pisząc tak, jak gdybyśmy szli pieszo z jednej wsi do drugiej, rozmawiając po drodze. Nie jest to może plan bardzo metodyczny, jeżeli chodzi o przedmiot, ale b. praktyczny i żywy nie wymagający rozważań o metodzie. Co Pan o tym myśli?

Zaczęlibyśmy więc może od Kosmacza i Prokurawy, tak jak to było w rzeczywistości latem 1939. Do tej podróży napisałbym mały wstęp. Potem opisałbym naszą wizytę u staruchy z rodu Zwinków, która nie chodziła do cerkwi i nie brała udziału w obrzędach, i opisałbym lekko cerkiew w Prokurawie, którą oglądaliśmy następnego dnia.

Następnie głos zabrałby Pan o tym, co Pan później sam znalazł w Prokurawie i o czym nic nie wiem, bo jużesmy się więcej nie widzieli.

Dodalibyśmy potem do tego rzut oka socjologicznego na zakazy pracy i spożycia. Nie wiem, co Pan widział i jakie uwagi ogólne to nastreczyło. Być może wyjdzie z tego dobry dialog. Mnie zagadnienie pracy zawsze interesowało. Ostatnio w Niemczech czytałem piękny szkic młodego socjalisty berlińskiego, Waltera Jaide, o *das deutsche Arbeit-swunder*¹. Jaide uważa pracowitość w społeczeństwach przemysłowych za zjawisko kompensacyjne, za próbę odmierzenia w kategoriach ilościowych wartości własnej człowieka

tam, gdzie do szacunku dla samego siebie brak przesłanek jakościowych. Na ten temat można by wiele rzeczy aktualnych powiedzieć, i Pan też pewnie ma zapas różnych uwag i poglądów.

Razem chodziliśmy także w Żabiem, gdzie oglądaliśmy kilka rozbudowanych gospodarstw. W sprawach budynków Pan jest majster i moja rola byłaby rolą kompana, podtrzymującego rozmowę. Inne tematy warte wspólnych rozważań widzę też w Żabiem: opis chramu i życie religijne Huculów, wizyta u opowiadacza i rozważania na temat zbiorowej pamięci Huculów i u ludzi żyjących w systemie kapitalistycznym, itd. Musimy to rozłożyć na dwa lub więcej ciągów po 20 stronic. Wymieniłem tu tematy, które mnie przyszły na myśl. Pan pewnie ma ich jeszcze więcej.

Czy Pan czyta po francusku? W zeszłym roku napisałem w tym języku pracę o starożytnościach rolniczych kantonu berneńskiego, dla której dotąd nie znalazłem wydawcy. Przysłałbym ją Panu w rękopisie. Zobaczyłby Pan próbę analizy historyczno-socjologicznej kraju należącego do obszaru śródziemnomorskiego. Tego roku w Nizzy zacząłem pracować nad obszarem dawnej Ligurii, i chciałbym tam jeszcze wrócić. W Nizzy można jeszcze drukować takie rzeczy i jest tam naukowe towarzystwo, wiele prac drukowanych, ale widzę też miejsce i dla siebie, bo posługuje się trochę inną metodą, czytaniem ziemi samej, mówiącej nieraz więcej niż dokumenty.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany J.S.

¹ *das deutsche Arbeitswunder* (niem.) — niemiecki cud gospodarczy.

6.

29.XII.[19]51

Muri (Bern),
Thunstr. 27

Kochany Panie Janku,

Najserdeczniej dziękuję Panu za ostatni liścik i życzenia. Mam wyrzuty sumienia, bo zaniedbałem bardzo naszą korespondencję i wspólne sprawy, ale mam nadzieję to wszystko naprawić.

Nie jestem wprawdzie chory, ale skutek jest bardzo podobny. Latem mianowicie przeszedłem pewnego rodzaju kryzys finansowy i musiałem się wziąć do b. niewdzięcznej pracy, która mnie bardzo nuży. Jestem mianowicie tłumaczem z hiszpańskiego na francuski i pracuję co dzień — także we wszystkie święta — od 10 do 2–3 w nocy. Z początku ta szybka praca nużyła mnie tak, że pół dnia spałem, a przez resztę dnia byłem, jak mówią, osowiały, do żadnego wysiłku umysłowego niezdatny. Teraz dopiero przyzwyczałem się do tego zajęcia, odrabiam je na pół mechanicznie, hiszpańskie ozdoby słowne nie robią mi więcej kłopotu, i zaczynam wracać do zdrowia. Przez kilka miesięcy nie odpowiadałem na żadne listy, aż wreszcie przestano do mnie pisać. Pański ostatni list leży na wierzchu całej paczki i obiecuję sobie w ciągu najbliższych dni odpowiedzieć nań akuratnie. List Pańskiego kolegi bardzo pochwalam i uważam za potrzebne, aby takie listy były pisane i aby się Sławoje i inni nie zapominali¹. Zresztą pierwszy artykuł Sławoja — o 1939 — podobnie jak wiersze Śmigłego-Rydza „Kultura” drukowała jako dokumenty dające d o k ł a d n y obraz tych postaci i sprowadzające je do właściwych, realnych proporcji znacznie dokładniej niż wszelka analiza ich działalności². Tak też to rozumiała większość czytelników. Drugi fragment wspomnień Sławoja nie ma tak

jasnego charakteru i dlatego czytelnicy mają teraz w tej sprawie głos. Aby list Pańskiego kolegi się ukazał, chciałbym zrobić w nim kilka formalnych poprawek, po zrobieniu których go Panu odeślę.

Do huculskich wspomnień wróć i przyślę Panu mój tekst do dwugłosu.

Nie wiem co myśleć o Pańskim wyjeździe do USA. Jechać tam trzeba wcześniej, dopóki się jest młodym i giętkim, odkładać tego nie trzeba. Czy jednak ma Pan już jakieś pojęcie o tym co tam Pan będzie robił? Życie tam nie jest igraszką, jak mówił Sławoj. Małaniuk jest tam od 2 lat zatrudniony jako *errand boy*³ w wielkim szpitalu. Młody Szulgin⁴ próbował różnych zawodów i teraz sprzedaje książki we francuskiej księgarni w Montrealu. Pan pewnie też będzie różnych rzeczy próbował. Aby temu dać rady i nie szarpać się ponad miarę, trzeba mieć jakiś start, jakaś pracę początkową. W następnym liście przyślę Panu adres jednej znajomej z Warszawy, która w Ameryce skończyła uniwersytet — wyjechała tam w 1945 — i pracuje w Church World Service w dziale t.z. *resettlement*, t.j. wynajdywania pracy i znośnych warunków egzystencji dla emigrantów. Może to się Panu przyda. Z moich znajomych tylko jedna trafiła od razu na swoją drogę. Była to młoda Żydówka z Berlina, która wyjechała w 1943 w mundurze H[itler-]J[ugend] po wymordowaniu jej całej rodziny i wszystkich prawie znajomych. Ta skończyła tu kurs roentgenologii i odbyła tu roczną praktykę jako pomocnica lekarza. Po przyjeździe do Los Angeles na trzeci dzień miała już pracę w tym zawodzie, dobrze płatną i uciążliwą. Po roku wyszła za mąż, ale z jej listów widzę, że nie jest tam szczęśliwa. Tego jednak ani pieniądze, ani praca, ani Ameryka nie dają same. Pisała, że California jest zupełnie taka sama, jak to sobie w Berlinie wyobrażała, i że ten brak wszelkiej niespodzianki i nowości wprawił ją w stan nudy i apatii, z której się dopiero po roku zaczęła otrząsać.

Ameryka jest zresztą w stanie stałej rewolucji. Nie ma w niej żadnej stałości posiadania ani ciągłości stosunków społecznych. Roosevelt i jego *New Deal*⁵ były próbą opanowania tego chaosu społecznego i ekonomicznego, ale próbą też chaotyczną. Nikt nie wie co z tego będzie za kilka lub kilkanaście lat. Być może wyjdzie z tego coś dobrego, ale w tym wszystkim trzeba się będzie samemu odnaleźć i do tego trzeba być młodym, giętkim i przytomnym.

Do jakiego miejsca Pan tam jedzie?

Do tego czasu spróbujemy jeszcze pisać do siebie, aby nic między nami się nie urwało.

Najserdeczniejsze życzenia przesyłam Panu, kochany Panie Janku, i Pańskiej żonie.

Szczerze oddany

J.S.

¹ List Wasyla Kosarenki-Kosarewycza (Kultura 1952 nr 2/3) polemizujący z Felicjanem Sławojem Składkowskim, którego wspomnienia pt. *Opowieści administracyjne, czyli Pamiętnik Niebohaterski* ukazały się w „Kulturze” w roku 1951 (nr: 7/8, 9).

² E. Rydz-Śmigły, *Poezja i historia*, Kultura 1949 nr 8 s. 71–79. Wstęp napisał P. H. (Paweł Hostowiec) czyli Jerzy Stempowski. Było to 17 wierszy z tomiku pt. *Dążąc do końca swoich dróg*, który ukazał się w Londynie w roku 1989.

³ *errand-boy* (ang.) — goniec.

⁴ Rostysław Szulgin — dziennikarz ukraiński; później pracował w radiu kanadyjskim; syn Aleksandra Szulgina, ukraińskiego działacza politycznego, historyka i socjologa.

⁵ *New Deal* (ang.) — nowy ład, program interwencji państwa w gospodarkę wprowadzony przez prezydenta Franklina Delano Roosevelta dla złagodzenia skutków Wielkiego Kryzysu 1929 roku.

5 stycznia 1952

Muri Be[rn],
Thunstr. 27

Kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za długi list, który mnie i ucieszył i zmartwił, bo widzę Pana stojącego przed bardzo trudnymi pytaniami. Nie mogę się oprzeć pewnemu zniechęceniu na widok praktyk administracyjnych amerykańskich, patrzących na „materiał ludzki” z punktu widzenia czysto utylitarne, bez żadnego humanizmu. Przypomina mi to wzory sowieckie. Utylitaryzm jest zresztą złym przewodnikiem, także i w sprawach praktycznych. Przypominam sobie, że przed laty przeglądałem amerykańską książkę pt. *The Mongols among us*, z której odniosłem wrażenie, że w Stanach Zjednoczonych musi być więcej mongoloidów niż w jakimkolwiek innym kraju. Jeden mniej lub więcej jest rzeczą całkowicie obojętną. Jest to taka sama historia jak ze szpiegami sowieckimi wśród naszych uchodźców. W samej Francji i w samych tylko Włoszech jest więcej komunistów fanatycznych niż w całym Związku Sowietckim. Jeden mniej lub więcej nic nie znaczy, ani też Sowiety nie mają żadnej potrzeby posyłania na Zachód nowych agentów, bo mają ich tam znacznie więcej niż potrafią kiedykolwiek zatrudnić. Wśród samych studentów Oxfordu mają najlepszych agentów, gotowych z fanatyzmu do największych posług i mających wszystkie drzwi otwarte. Przed rokiem na ulicy w Bernie jeden agent MWD¹ sfotografował mnie w towarzystwie pewnego Ukraińca do mego *dossier* w Bezpieczeństwie. Był to brytyjski student rzekomo na wakacjach w Szwajcarii. Od czasu do czasu Rosjanie wysyłali na przepadłe małych agentów przez linię demarkacyjną do Niemiec w charakterze uchodźców, ale robili to tylko w celach prowokacyjnych, aby wywołać ze strony angielsko-amerykańskiej zaryglowanie z ich boku linii demarkacyjnej, której sowiecka straż sama nie mogła upilnować. Na to utylitaryści Zachodu dali się naiwnie złapać, dzięki swej małostkowości i brakowi jakichkolwiek innych kryteriów myślowych i moralnych jak czysty utylitaryzm dorazny.

Wracam jednak do Pańskich spraw. Wydaje mi się, że Pański projekt jest jedynie rozsądny. Bardzo to niewdzięczna rzecz być matką mongoloida, bo oprócz zmartwień nic z tego nie może wynikać². Natura sama postawiła temu granicę w postaci krótkiego życia mongoloidów, którzy tylko w wyjątkowych wypadkach przekraczają 20-ty rok życia. W miarę dorastania stają się coraz kłopotliwsi dla rodziców i otoczenia. Miałem sposobność obserwowania kilku takich wypadków pośród swoich znajomych i pamiętam ich zmartwienie i kłopoty. Wydaje mi się, że i dla Pańskiej żony wyjazd będzie okrutną może, ale dobroczynną w skutkach operacją. Do dzieci ułomnych matki są często bardziej przywiązane niż do innych, ale na tym samym fakcie całego życia w rozsądny sposób nie można zbudować, zwłaszcza młodej kobiecie, mającej połowę i lepszą połowę życia jeszcze przed sobą.

Nie wiem czy nie ulega Pan pewnym złudzeniom sądząc, że znajdzie Pan możliwość pracy jako etnograf. Dziś więcej niż kiedykolwiek w Stanach trzeba tylko robotników. Nie wiem nawet czy Church World Service Panu w etnologicznych ambicjach będzie mógł pomóc. Myślę, że do tego będzie Pan musiał dojść sam, jeżeli Panu starczy zdrowia, żyjąc z innego zajęcia. Być może jednak się mylę. Na Pańskim miejscu odbyłbym jakieś krótkie wykształcenie w jakimś zawodzie mechanicznym, aby mieć podstawę do dalszych kroków. Wyjeżdżający stąd, bez względu na to, co zamierzali robić w Ameryce, przechodzili kurs dla spawaczy, którzy są teraz poszukiwani w przemyśle zbrojeniowym. Być może jest to zbyt ostrożność, która zniechęca Fortunę, patronkę odważnych.

W każdym razie w Niemczech nie ma co zostawać. To na pewno do niczego nie prowadzi. Dopóki Pan jest młody, kochany Panie Janku, niech Pan stamtąd ucieka do nowych krajów, w których dzięki obecnej koniunkturze łatwiej teraz urządzić się niż kiedykolwiek. To jest też ważna okoliczność do wzięcia w rachubę.

Moja znajoma z Church World Service nazywa się Halina Korsak, jest wdową po b. wiceministrze z czasów Piłsudskiego, która zawsze była czymś w rodzaju *social worker*. Będę do niej pisał niedługo i napiszę też o Panu. Z tego co mi sama kiedyś mówiła, mam wrażenie, że to może być dla Pana użyteczna znajomość.

Napiszę do Pana jeszcze w krótkim czasie. Tymczasem najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam Państwu obojgu, szczerze oddany
J. Stempowski

P.S. Oto adres:

Mrs. H. Korsak, 508 West End Ave.
New York 24, N.Y.

¹ MWD — Ministerstwo Wntrniennych Dier — sowiecki odpowiednik polskiej Bezpieki.

² Młodsza córka Senkiwów, Irenka, była dotknięta mongolizmem.

8.

1 marca 1953

Bern,
Nydeggasse 17.

Drogi, kochany Panie Janku,

W ostatnich czasach — mniej więcej od roku — powodziło mi się źle, nie tyle materialnie co moralnie. Byłem tak przemęczony i znudzony, że przestałem pisać cokolwiek do druku i nawet na listy nie odpowiadałem. Dla tej przyczyny nie odpisywałem tak długo na Pański list z listopada, który mnie bardzo zastanowił i dał wiele do myślenia.

Z Ameryki miałem kilka listów podobnych do Pańskiego, z opisem przygód tego samego rodzaju. E. Małaniuk, którego Pan może znał osobiście z Warszawy, znany poeta ukraiński z południowej części kraju, był przez cały bodaj rok zatrudniony jako *errand boy* w szpitalu, z wielką szkodą dla swego zdrowia, bo jest o rok lub dwa starszy ode mnie. Młody Szulgin, bardzo obrotny chłopiec, przez dłuższy czas był w Kanadzie w wielkich opalach, cierpiał głód, zmarło mu jedno dziecko, kiedy go wyrzucono z mieszkania itd. Obaj myśleli też o powrocie do Europy, ale potem jakoś dali sobie rady, chociaż i teraz — o ile wiem — nie bardzo się im dobrze powodzi.

Lepiej trochę wyszli ci, którzy mimo akademickich tytułów od razu jechali nastawieni na pracę fizyczną i odbyli już w Europie pewną zaprawę w warsztatach mechanicznych, w rzemiosłach poszukiwanych w Ameryce. Jeden młody historyk, b. uczeń szkoły marynarskiej, był tu na takich kursach i na praktyce, miał dyplom spawacza (*Schweisser*). Ten dostał w Kanadzie pracę w fabryce sprzętu radiowego, gdzie spawa srebrem różne części takich aparatów i dość dobrze zarabia, bo myśli już o kupieniu własnego drewnianego domu, według tamtejszych wzorów i obyczajów. Tam jechał przygotowany z góry na najgorsze i on jeden nie skarżył się ponad miarę, chociaż tak samo myślał o powrocie, ale raczej z powodu znudzenia i zniechęcenia, niż z racji tych warunków życia lub niedostatecznych zarobków. Pisze mi ostatnio jego żona o zabawnej rozmowie swego męża z jego *foreman*'em¹. Ten ostatni był bardzo zdumiony wykształceniem ogólnym mego młodego przyjaciela i powie-

dział mu: „Gdybym miał pański *background*, byłbym już dziś pewnie dyrektorem naszej fabryki”. Widocznie tam wykształcenie ogólne służyć może tylko do tego, aby z robotnika wyjść na foremana, a z foremana na dalsze szczeble kariery przemysłowej.

Coś podobnego słyszałem ostatnio od argentyńskiego radiotelegrafisty wojskowego, z którym czasami pracuję, i który z wielką wprawą odbiera telegramy z Buenos Aires, z których ja potem robię rodzaj streszczenia. Argentynińczycy mówią i piszą bardzo dziwnie po hiszpańsku, i kiedy chcą być bardzo górnolotni używają wszystkich czasowników w *subjunctivo* (czas używany w *oratio obliqua*² i dla wyrażenia życzenia, obawy, a także przy pewnych konstrukcjach zdań pobocznych). Widząc raz taką stronę pełną *subjunctivów*, zapytałem mego telegrafistę, dlaczego niektóre zdania są w tym trybie bez żadnej potrzeby. Na to odpowiedział: „Mój panie, gdybym wiedział jak używać poprawnie *subjunctivo*, nie byłbym dziś radiotelegrafistą, ale członkiem Akademii Hiszpańskiej”. „Finansowo na pewno by Pan na tym gorzej wyszedł” — zauważyłem. „To jest pewne i dlatego wybrałem mój obecny zawód, nie troszcząc się o *subjunctivo*”.

Jak Panu teraz udało się urządzić w Niemczech? Czy znalazł Pan zajęcie w jakimś muzeum? Europa niestety szybko się amerykańkuje. Niemieccy znajomi, których widziałem latem 1951, bardzo się na to skarżyli. Tu też jest już mała Ameryka, i ja czuję się tak prawie jak Małaniuk w New Jersey. Do Europy przyszło to razem z pieniędzmi i z teorią J. M. Keynes’a (*theory of full employment*³).

Będę się bardzo cieszył z wiadomości od Pana. Może coś razem przedsięwzięmy. Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyłam, szczerze oddany
Jerzy Stempowski.

P.S. Czy wie Pan już, że pani Helena Vincenz⁴ zmarła w Londynie w końcu ub. roku?

¹ *foreman* (ang.) — brygadzysta.

² *oratio obliqua* (łac.) — mowa zależna.

³ *theory of full employment* (ang.) — teoria pełnego zatrudnienia.

⁴ Helena Vincenz, pierwsza żona Stanisława Vincenza; emigrowała spod okupacji sowieckiej na Węgry w 1940; mieszkała w Londynie.

9.

29 grudnia 1953

Bern,
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Najserdeczniej dziękuję za życzenia i za odezwanie się, bo już myślałem, że straciłem Pana z oczu. Ostatni list pisał Pan do mnie po powrocie z Ameryki, z tym samym adresem co dziś. Z listu Pańskiego miałem jednak wrażenie, że to jest adres tymczasowy. Bardzo więc cieszę się z odnalezienia Pana.

Nic nie wiem, jak się Panu teraz powodzi. Czy znalazł Pan możliwość pracowania naukowo? Myślę, że dziś w Niemczech jest to bardziej możliwe niż gdzie indziej w Europie, która przechodzi okres ogólnej rebarbaryzacji. Tu np. żadne badania nie prowadzące do celów użytkowych i do pieniędzy nie są popierane. Moja książka o formacji pejzażu berneńskiego leży od kilku lat w rękopisie i być może ukaże się dopiero teraz w Hiszpanii. Bardzo bym się cieszył, gdyby Panu się udało lepiej niż mnie.

Moje nerwy nie uległy żadnej odmianie. Przez ostatnie dwa lata cierpiałem na rodzaj melancholii, i dla tej przyczyny nic nie pisałem i nawet nie odpowiadałem na listy, mając

zaledwie dość energii na odrabianie niewielkiej pracy zarobkowej, z której się utrzymuję. Jestem mianowicie zatrudniony jako tłumacz z hiszpańskiego na użytek poselstw południowo-amerykańskich, dla których tłumaczę i przerabiam na europejski ład różne materiały i komunikaty urzędowe. Zajęcie nudne i niewdzięczne. Teraz dopiero zaczynam się otrząsać z tego długiego okresu frustracji ale jeszcze nie mam odwagi wziąć się do jakiś ambitniejszych planów. Czy pamięta Pan nasze projekty dwugłosu o Huculszczyźnie? Wzięliśmy się doń akuratnie za parę tygodni przed wystąpieniem u mnie pierwszego kryzysu melancholii. Może byśmy powrócili teraz do tego pomysłu?

Czy wievia Pan wiadomości od Vincenzów? Stanisław Vincenz mieszka zawsze na 52, cours Jean Jaures, Grenoble (Isère). Odwiedziłem go w 1951 wiosną. Mieszka zupełnie jak w Słobodzie, otoczony takimi samymi przedmiotami i książkami. Niektórzy widocznie niosą swój dom na sobie jak żółwie i ślimaki. Bardzo mu bardzo zazdroszczę. Pani Lena zmarła w 1952 w Londynie u Staśka, który się przedtem ożenił i teraz, jak się dowiaduję, jest na Jamajce, gdzie ma mu się lepiej powodzić niż w Anglii¹.

Proszę się do mnie odzywać, kochany Panie Janku. Wie Pan, jak bardzo Pana lubię, po bratersku. Żałuję bardzo, że w 1951 nie odwiedziłem w Hamburgu Pana i nie miałem okazji poznać Pańskiej żony. Przesyłam Państwu obojgu najserdeczniejsze życzenia, szczerze oddany Jerzy Stempowski.

¹ Stanisław Vincenz, syn pisarza z pierwszego małżeństwa; fizyk.

10.

21 listopada 1954

Monachium,
Pension Bolvary
Reitmorstr. 12.

Kochany Panie Janku,

Po przyjeździe do Monachium wpadłem tu w taki kołowrót jak Pan w swoim sklepie. Miałem do przeczytania 97 sluchowisk przysłanych na konkurs, po 20–25 stronik każdy, a ponieważ przez kilka dni chorowałem i nie mogłem nic czytać, rękopisy te stworzyły prawdziwy zator, któremu nielatwo było dać rady, bo do każdego musiałem jeszcze napisać małą ocenę. Dopiero przed dwoma dniami skończyłem tę robotę i teraz czekam na zebranie się całego jury, które będzie musiało dokonać wyboru wśród jakiś 20 najlepszych rękopisów. Potrwa to jeszcze z tydzień i wątpię, abym mógł stąd wyjechać przed 27 listopada.

Dla tych przyczyn nie odzywałem się dotąd do Pana. Po wyjeździe z Dortmundu spędziłem jeden dzień w Düsseldorfie, który wygląda na najbogatsze miasto Niemiec. Główne ulice są pełne dam w najpiękniejszych futrach, zasiadających rano i wieczorem w kawiarniach i jedzących ciastka niezwyklej wielkości. Teatry i teatrzyki są pełne publiczności wyglądającej tak, jak gdyby po latach głodu i nędzy dorwała się do wielkich pieniędzy i spieszyła wydać je jak najprędzej. Słowem coś zupełnie innego niż w Dortmundzie. Coś podobnego, chociaż w skromniejszej skali, dzieje się w Monachium. Dortmund pozostaje najciekawszą rzeczą, jaką widziałem podczas obecnego pobytu w Niemczech, i jestem Panu niezmiernie wdzięczny, że Pan mi pomógł w zapoznaniu się z tym kawalkiem Niemiec.

Bardzo osobliwy widok przedstawia też Radio Free Europe, ogromna maszyna zatrudniająca koło 150 Polaków, tyluż Czechów i trochę mniej Węgrów, nie licząc Niemców. Wszystko to mieści się w wielkim budynku wzniesionym przez Amerykanów na skraju parku. Do przedsięwzięcia tego należy też pewna ilość nowych kamienic, w której

mieszkają pracownicy Radia. Autobusy Radia przywożą ich o 9 rano do biura i rozwożą do domów o 17.30. Są oni bardzo dobrze płatni i mają życie tak ułatwione pod każdym względem, że nie wyobrażam sobie, aby mogli z własnej woli porzucić te posady i wrócić do życia emigrantów takich jak Pan i ja. Do tej roboty Amerykanie zgromadzili tutaj część najzdolniejszych emigrantów, sprowadzonych z różnych krajów. Znalazłem tu sporo znajomych z różnych czasów. Część ich czuje się z tym wszystkim źle, niby w złoczonej klatce, czemu nie mogę się dziwić, bo cały ten wysilek nie ma zapewne większego sensu. Radia słucha w kraju wiele osób, ale z bardzo różnym efektem. O ile wiem, niektórzy słuchają go z wielką irytacją, myśląc nie bez racji, że kanarki ze złoczonych klatek nie mają prawa uczyć ludzi pozostających pod sowieckim reżimem. Spotkałem też przed kilku miesiącami jednego komunistę, który powiedział mi z uśmiechem: jaka szkoda, że ci panowie z Radia mają tak zły smak i przemawiają tak pospolicym i nieobyčajnym językiem. Wszystko to jest jednym z paradoksów i wybryków naszego czasu. Wydaje mi się, że historia grupy emigrantów zatrudnionych tu przy Free Europe byłaby dobrym przedmiotem studiów dla socjologa, ale nie podjąłbym się takiego zadania.

Jaki obrót wzięły tymczasem Pańskie sprawy? Czy Pańska kawiarnia już otwarta? Bardzo jestem ciekawy jak mieszkańcy Korei¹ odnieśliby się do tego nowego dla nich zjawiska? Ma Pan pewnie pełne ręce roboty. Czy widoki na inne zajęcie przybrały jakieś konkretne kształty? Dowiedziałem się paru szczegółów o prof. G. v. Mende, o którym mi Pan wspominał. Jego urząd nazywa się Hilfsbureau für heimatlose Ausländer, Cäcilienallee 52, Düsseldorf 10. Sądząc z nazwy, byłoby to akuratnie coś dla Pana, ale nie wiem dobrze, jaki jest właściwy zakres działania i możliwości prof. G. v. Mende. Być może dowiem się jeszcze o tym czegoś użytecznego.

Rączki Pańskiej żony całuję, obu córeczkom serdeczne pozdrowienia przesyłam, *lieve kind*² całuję, a Panu przesyłam, kochany Panie Janku, najserdeczniejsze, przyjacielskie pozdrowienia, szczerze oddany
J.S.

¹ Korea — nazwa obozu dla przesiedleńców, gdzie mieszkali Senkiwowie.

² *lieve kind* (holender.) — kochane dziecko.

23.IX.1955.

Bern,
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Niezmiernie ucieszył mnie Pański list. Widzę, że znalazł Pan dobre wyjście z swego wygnania na Korei i że zbliżył się Pan do pracy w zakresie swoich zainteresowań i uzdolnień. Na emigracji jest to rzecz trudna, udaje się rzadko i tylko najzdolniejszym.

Z Pańskiego listu rozumiem, że Pański kurs zacznie Pan dopiero w przyszłym roku, bo nie widzę go w spisie, który mi Pan był łaskaw przysłać. Ma więc Pan sporo czasu na przygotowanie go i przemyślenie czym będzie Pan mógł zainteresować słuchaczy, oraz przyjrzeć się tym słuchaczom.

Z pomocy naukowych mam u siebie A. Brücknera *Historię kultury polskiej*. Pan pewnie ją zna. Jest to nieoceniona kopalnia wszelkiego rodzaju wiadomości, książka którą wszyscy profesorowie historii i literatury trzymają w nocy pod poduszką, żeby we śnie nawet coś mogło z niej trafić do ich pamięci. Czytałem niedawno wzmiankę, że gdzieś na emigracji —

zdaje się w Paryżu wychodzi zeszytami nowe wydanie tej książki. Zanim Pan je będzie mógł kupić, służę Panu moim egzemplarzem, w którym brak 16 stron. Są to 3 wielkie tomy nieoprawione i trochę podszargane, które ocaliłem z rozgromu tutaj[szego] poselstwa¹.

Z innych książek czytałem niedawno Henryka Paszkiewicza (być może słuchał go Pan na Uniwersytecie Warszawskim) *The Origin of Russia*, o której pisałem przed kilku miesiącami w „Kulturze”². Jest to historia średniowieczna obszaru rosyjsko-ukraińsko-polskiego, między Wisłą a Wołgą. Książka fundamentalna, wykorzystująca i opisująca wszystkie istniejące źródła i całą literaturę naukową. Od autora wiem, że miało się ukazać jej drugie wydanie. Taka książka powinna się znajdować w każdej bibliotece historycznej i slawistycznej. Pewnie więc Panu ją Instytut kupi: Henryk Paszkiewicz. *The Origin of Russia*. George Allen and Unwin. London 1954. 639 s. Gdyby Pan miał z tym trudności, mogę Panu służyć moim egzemplarzem. Na uważne przeczytanie go trzeba liczyć 2–3 tygodnie czasu.

Ostatnio wyszło sporo książek niemieckich dotyczących Europy Wschodniej. Nie mam żadnego ich przeglądu, to Panu łatwiej przyjdzie.

Czytam w tej chwili książkę:

Georg Baron Manteuffel-Szooge: *Geschichte des polnischen Volkes während seiner Unfreiheit (1772–1914)*. Duncker & Humblot. Berlin 1950.

Wydaje mi się dobra, a w każdym razie przejrzysta i łatwa do czytania. W przypisach znajduje się najpotrzebniejsza bibliografia.

W Niemczech jest kilka instytutów zajmujących się sprawami Europy Wsch[odniej]. W Monachium znajduje się najstarszy z nich; na czele jego stoi Hans Koch, ur. we Lwowie, b. prof. teologii protest[anckiej]. Nie znam tej instytucji, ale słyszałem, że posiada bibliotekę. Tam przypuszczam można się więcej dowiedzieć, czym w zakresie literatury Niemcy w tej chwili rozporządzają.

Widziałem też prospekt miesięcznika czy kwartalnika slawistycznego, który musiał się w krótkim czasie ukazać. Redaktorem jego jest prof. Koschmider, b. prof. wileńskiego uniwersytetu. Pierwszy numer jego już pewnie wyszedł i można go znaleźć w nowościach bibliograficznych. Tam znajdzie Pan zapewne wznowienia nowych książek.

Mam u siebie jeden numer pisma „Der europäische Osten, Monatsschrift für Selbstbestimmungsrecht u[nd] Freiheit der Völker”. München 9, Jörg-Verlag G.m.b.H., Schweiger str. 2. Tam też są omówienia książek. Wydawcą jest Hanns Gert Frhr. [Freiherr] v[on] Eseebeck, który, o ile wiem, jest szwagrem v[on] Brentana, ministra spraw zagr[anicznych].

Jeżeli chodzi o najnowszą (1945–1955) historię, czy ma Pan numery specjalne „Kultury” poświęcone historii Polski i sytuacji wewnętrznej kraju w tym okresie? Wyszło tego przed paru laty 5 zeszytów.

Z tego zakresu polecam Pańskiej uwadze także krótką rzecz mego pióra: *Die polnische Literatur drinnen u[nd] draussen (1945–1955)*, która ukazała się w „Deutsche Zeitung” Stuttgart W., Silberburgstr. 193, 17 września r.b.

Wydaje mi się, że dla powodzenia Pańskiej działalności w Instytucie najważniejszą rzeczą byłoby przyjrzenie się słuchaczom i wycucie, co ich do Instytutu sprowadza — czy potrzeba rozrywki, czy kształcenia się i w jakim celu — i czym ich można zainteresować.

Odczyt o „Kulturze” może być — jako rzecz żywa — dobrym pomysłem. Za kilka dni przyślę Panu o tym notatkę z różnymi wiadomościami o charakterze malowniczym i anegdotycznym.

Przychodzi mi na myśl, że wiele użytecznych dla Pana książek wychodzi teraz w Polsce. Jest tam kilka insty[tu]tów geograficznych. Widziałem przed kilku miesiącami wielki tom ilustrowany z opisem analitycznym krajoobrazu polskiego, ale nie przypominam sobie szczegółów. Dowiem się o tym. Z tamtejszymi książkami jest sporo kłopotu,

bo często po kilku tygodniach już są wyczerpane i nie do kupienia. Życie musi być tak nudne i przykre, że kto może zamyka się w domu i czyta.

Program Auslandsinstitutu dortmundzkiego robi bardzo dobre wrażenie. Jest może trochę chaotyczny i przypadkowy, ale na początek jest to nieuniknione i czasami zabawniejsze od systematyczności uniwersyteckiej.

Przychodzi mi na myśl, że Nadrenia jest starą rzymską prowincją, i że w sensie znalezienia jakiegoś ogólnoeuropejskiego ducha warto byłoby zająć się wspólnymi tradycjami rolniczymi Europy, które są zapewne widoczne także w Westfalii. Rozwój górnictwa zaczął się tam dopiero w XIX w., na wsi muszą być więc jeszcze stare *Bauernhöfe* i *Bauernhäuser*. Zwiedzenie takich domów i odczytanie tego, co mówią o przeszłości, musi być w Westfalii rzeczą bardziej egzotyczną niż film z wysp Polinezji, tak dziś te rzeczy zeszły na drugi plan. To byłoby coś z Pańskiej specjalności. Można by z tego robić wykłady z porównaniem z innymi krajami i z wycieczką do jakiejś wsi, gdzie są stare domy i obejścia. Takie rzeczy są najlepiej zachowane niedaleko od ośrodków fabrycznych, gdzie rolnictwo nie idzie naprzód, bo ludność czerpie zarobki z innych źródeł. Z pewnego powodzenia mojej książeczki o *Terre bernoise* wnoszę, że takie rzeczy budzą pewne zainteresowanie. Najwięcej czytelników moja książeczka znalazła zupełnie niespodzianie w Holandii, gdzie sprzedano jej 50 egzemplarzy. Być może w Westfalii jest już jakieś towarzystwo zajmujące się takimi studiami, ale to tylko pomaga. Historycy umieją czytać dokumenty, ale nie umieją odczytać gruntu, zabudowań, drzew itd. Przekonałem się o tym w Nicei, gdzie miejscowe [owarzyst]wo historyczne wydało już 100 tomów o przeszłości okolic miasta, ale nikt nie odczytał dotąd ziemi, zapisanej tak gęsto, że można by zrobić z tego kilka tomów fantastycznych jak historia 1001 nocy. Zacząłem już tę robotę, ale byłem zbyt krótko, aby ją wykończyć*.

Piszę to wszystko *prima vista*, o innych sprawach napiszę niedługo.

Pańskiej żony rączki całuję, pannę Pony najserdeczniej pozdrawiam, a *lieve kind* całuję z całego serca. Często ją sobie przypominam. Cieszę się bardzo, że Pańska kawiarnia dobrze poszła mimo obaw, jakie Pan miał.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany

J.S.

* *Die Landwirtschaft in der europäischen Kulturgeschichte. Die Landw[irtschaft] als Quelle der gemeinsamen Zügen der europäischen Kultur*; tak można by ten temat sformułować.

¹ Poselstwo polskie w Bernie zostało w roku 1945 przekazane przez posła RP Aleksandra Ładosia władzom komunistycznym warszawskim.

² [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Początki Rosji*, Kultura 1955 nr 6 s. 137–142.

12.

17 marca 1956.

Bern,
Nydeggasse 17

Kochany Panie Janku,

Dziękuję za list z 14-go, który w tej chwili właśnie otrzymałem. Bardzo się cieszę z Pańskiej współpracy z Auslandsinstitutem. Przypadł Panu trudny temat, wymagający długiej lektury. Nie wiem czy znajdzie Pan łatwo potrzebne książki.

Na pierwszy rzut oka wydaje mi się, że ocena Rosjan przez Zachód była bardzo niejednolita i ulegała silnym wahaniom. Pomijam tu doświadczenia pierwszych podróżników do Rosji z czasów Iwana Groźnego, którzy na ogół ocenili Rosjan jako dzikich ludzi,

złych i przewrotnych, co — mając na uwadze, że komunikowali się z otoczeniem cara — odpowiadało rzeczywistości.

Okres bliższych stosunków z Rosją i odkrycie rzeczywistego oblicza krain i mieszkańców przypada na czas Mikołaja I. Z tego czasu datuje epokowa książeczka, czytana potem przez całą elitę rosyjską. Są to listy z Rosji Astolpha de Custine. Mam tu francuski egzemplarz, trochę skrócony de Custine'a. Wiem, że niedawno — może przed 2–3 lata — ukazało się w Stanach Zjedn[oczonych] angielskie tłumaczenie tej książki. Nie wiem, czy istnieje tłumaczenie niemieckie; warto go poszukać. De Custine znał Mickiewicza i jego obraz Rosji zbiega się na wpół z mickiewiczowskim.

Mam u siebie doskonałą książkę Wacława Lednickiego *Russia, Poland and the West*, gdzie znajdzie Pan wiele materiałów i wskazówek do tego tematu. Mogę Panu tę książkę przysłać. Pisałem o niej zeszłego roku w „Kulturze”¹.

Wielkie pomieszenie pojęć zaczęło w końcu XIX wieku, kiedy z okazji aliansu francusko-rosyjskiego Zachód zaczął propagowki na użytek własnych obywateli bardzo ocukrowany obraz Rosji i Rosjan. B. sekretarz ambasady francuskiej w Petersburgu Melchior de Voquë napisał wówczas świetną książkę o powieści rosyjskiej budząc wielkie zainteresowanie literaturą rosyjską. Na pół wieku Tolstoj i Dostojewski stali się ulubioną lekturą całej elity umysłowej Zachodu. Elita ta do dziś dnia widzi Rosjan tak, jak przedstawiają ich ci dwaj pisarze tj. jako naród moralistów, podobnych do Indusów, zagłębionych w roztrząsania moralne i mało przedsiębiorczych. Było to właśnie w czasie, kiedy powstawały olbrzymie zakłady przemysłowe Putilowa pod Petersburgiem i kiedy Rosja przygotowywała się do panowania nad Europą. Bardzo ostra charakterystyka imperializmu rosyjskiego znajdzie się np. w publicystycznych pismach M a r x a.

O wpływie literatury rosyjskiej na obraz Rosji u ludów Zachodu istnieje niem[iecka] rozprawa, nieco satyryczna, kobiety piszącej pod pseudonimem SIR GALAHAD, której nazwisko nie przychodzi mi w tej chwili na pamięć i która zmarła przed kilku laty na emigracji w Berlinie. Rozprawa jej nosi tytuł *Idiotenführer durch die russische Literatur*. Wyszła w Niemczech gdzieś koło 1930.

Do konfuzji pojęć i fałszywych ocen przyczynił się fakt, że Zachód stykał się mało z Rosją, wiele natomiast z rosyjską inteligencją, będącą osobliwym tworem samodzierżawia. Inteligencja ta potępiała całą Rosję oficjalną, była rewolucyjna, liberalna, słowem stanowiła odwrotność tego, czym był ogół narodu. Od Czaadajewa, Hertzena i Bakunina do Lenina i Trockiego istnieje w tym pewna ciągłość. Widok tej inteligencji wytworzył na Zachodzie obraz Rosji podminowanej od wewnątrz, niepewnej jutra, zagrożonej przewrotami, głęboko nieprodukcyjnej. Stworzono nawet termin IMPRODUCTIVITÉ SLAVE, słowiańska nieprodukcyjność. Znacznie bliższy rzeczywistości jest obraz Rosji przemysłowej z 1907 czy 1909, jaki znajduje się w klasycznej książce niemieckiej SCHULZE-GAEVERNITZA. Jest tam sumiennie i krytycznie opisany rozwój przemysłu rosyjskiego, przypominającego wzory amerykańskie z końca XIX i początku XX wieku.

Obraz chaosu i nieprodukcyjności zwiększył się jeszcze w oczach Zachodu po 1917. Przez długie lata nikt nie wyobrażał sobie, że Rosja może stworzyć największą granicę lądową doskonale uzbrojoną. Nie wierzono temu nawet w 1937–1938. Pamiętam z tych lat moją rozmowę z komunistą francuskim Georges FRIEDMANN, kierownikiem centru dokumentacji społecznej paryskiej École normale supérieure, który spędził dłuższy czas w Rosji i zwiedził parę fabryk wojennych. Zwracał on moją uwagę na całkowitą rozbieżność między obrazem Rosji, jaki rozpowszechniony był na Zachodzie, i rzeczywistością. Na Zachodzie słowo Rosja kojarzyło się z dziką rewolucją, partyzantami, krwawymi represjami itd. Głównymi rysami rzeczywistości był powszechny przymus pracy, rozbudowa przemysłu w *ударном порядке*² i żelazny rygor policyjny.

Wreszcie rozbieżności między rzeczywistością i obrazem jej na Zachodzie weszły w ostatnią fazę w roku ubiegłym, kiedy nagle cały świat zaczął mówić o „odwilży” i liberalizacji, której w rzeczywistości nie ma wcale lub jest w dozach homeopatycznych. Zachód chce się ludzić i nie ma odwagi spojrzeć na rzeczywistość oczami de Custine’a.

W najbliższych dniach zobaczę jeszcze w tut[ejszej] bibliotece, co na ten temat jest więcej. Po wojnie wyszło tu także kilka książek o Rosji i Zachodzie. Heine radził pisać rozprawę o nodze według schematu: *der Fuss im Alterum, der Fuss im Mittelalter und der Fuss in der Neuzeit*³. Wydaje mi się, że i Pański temat tak należy ułożyć, aby nie zgubić się w obszernym materiale z różnych czasów.

Mnie też zima i grypa bardzo dokuczyły. Dobrze, że to się już kończy. Przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia całej Pańskiej rodzinie, nie zapominając o *lieve kind*, a Pana, Kochany Panie Janku, ściskam po bratersku, szczerze oddany J.S.

¹ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Polska, Rosja i Zachód*, Kultura 1955 nr 4 s. 129–132.

² в ударном порядке (ros.) — w systemie przodownictwa pracy.

³ *der Fuss im Altertum...* (niem.) — noga w antyku, noga w średniowieczu, noga w nowożytności.

13.

Bern, 24 marca 1956
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Dziękuję za list z 22-go. Od ostatniego listu obejrzałem tutejsze publikacje. Najciekawsza z nich dla Pana jest: A. von Schelten, *Russland und Europa*. Bern. Francke Verlag. Jest to obszerna książka zawierająca przegląd całych stosunków między Rosją i Zachodem, zwłaszcza w ciągu XIX w., rodzaj podręcznika. Kosztuje około 25 Mk. Niestety nie mam jej, ale przypuszczam, że znajdzie ją Pan w jakiejś bibliotece.

Po wojnie ostatniej między bibliotekami różnych krajów zawarte zostały umowy o wzajemnym wypożyczaniu sobie książek. Dyrektor tut[ejszej] Landesbibliothek mówił mi, że może mi wypożyczyć książki z Pragi i Warszawy. To oczywiście nieprawda, bo tamtejsze biblioteki nie wypożyczają ani na kraj ani na zagranicę t.z. prohibitów, do których zaliczone są nawet stare roczniki „Wiadomości Literackich”. Być może jednak Niemcy objęte są tymi umowami, a wówczas miałby Pan nieograniczoną możliwość wypożyczania książek z bibliotek szwajcarskich, austriackich, skandynawskich *etc.*

Nowości amerykańskie można znaleźć w bibliotekach istniejących przy każdym America House. Nie wiem, jaki jest tryb wypożyczania z tych bibliotek dla zamiejscowych, ale przypuszczam, że za pośrednictwem bibliotek publicznych rzecz jest możliwa. De Custine’a listy z Rosji ukazały się przed kilku laty w USA w tłumaczeniu jednego z wielkich ekspertów, samego Kennana czy Kohlera, i nie przypuszczam, aby tej książki zabrakło w America Houses.

Wieczory petersburskie, które Pan wspomina, są dziełem Josepha de Maistre. Jego nazwisko wymawia się de Mestr. Są to rozważania apologetyczne na temat monarchii absolutnej i jest tam m.in. pochwała kata. Być może jest tam też coś ciekawego i dla Pana ale raczej ubocznie. Trzeba by to uważnie przeczytać. Brat de Maistre’a, Xavier de Maistre, był też w Rosji i jest znacznie lepszym pisarzem, autorem *Podróży po moim pokoju* i powieści *La jeune Sibérienne*, z której zostało w ros[yjskiej] mowie potocznej wyraże-

nie *параша сибирячка* na znane naczynie więzienne. Utwory te jednak Pana tematu bezpośrednio nie dotyczą.

Jeżeli Pan sięga daleko wstecz, być może przyda się Panu Радищев, *Путешествие из Петербурга в Москву* z końca XVIII w., opisująca życie ludu pańszczyźnianego. Bolszewicy b. się z tym obnosili i mam tę książkę w sow[ieckim] wydaniu. Mogę ją przysłać.

Lednickiego wysyłam. Jeżeli przyjdzie mi coś na myśl do Pańskiego tematu, napiszę. Bardzo jestem ciekawy Pańskiego planu wykładów.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła szczerze oddany
J.S.

P.S. Największy America House widziałem w Monachium przy Arcisstr., ale słyszałem, że podobne istnieją i w innych miastach. Monachijski A.H. miał b. porządną bibliotekę z nowościami, z czego mało kto korzystał.

14.

Bern, 20.XII.1956
Nydegasse 17.

Kochany Panie Janku,

Dziękuję Panu serdecznie za listy i wiadomości. Byłem bardzo rad, że zaczął Pan pracować trochę w swoim fachu, poza Koreą. Nic Pan jednak nie pisze o tym, jak skończył się Pański kurs o Rosji. Czy był Pan zeń zadowolony i jakie projekty wynikły stąd na rok następny.

W połowie października byłem w Tübingen na spotkaniu historyków polskich i niemieckich, które opisałem krótko w grudniowej „Kulturze”¹. Byli tam zresztą nie tylko historycy i — jak na wszystkich zjazdach — najciekawsze rozmowy były prywatne. Z całej tej podróży — bo potem spotkaliśmy się jeszcze w Monachium ze specjalistami od *Zeitgeschichte*, czyli po amerykańsku *current history* — wyniosłem wrażenie, że — mimo powolnego tempa odbudowy uniwersytetów i bibliotek — w Niemczech odbywa się wielka praca myśli. Młode pokolenie, które wydawało się zdziesiątkowane przez wojnę i zdemoralizowane przez hitlerizm, otrząsnęło się szybko z całego tego spadku po przeszłości i weszło na nowe tory, przypominające trochę dawny, przedbismarckowski idealizm niemiecki. Niektóre instytucje są całkowicie w rękach młodzieży. W grupie uczonych np. pracujących w monachijskim Institut für Zeitgeschichte najstarszy wiekiem ma koło 40 lat. Pod względem metody jest to jeszcze nie zrównoważone, ale pod tym względem historia jest najtrudniejsza do odnowienia. W t.z. Tübingen Kreis widziałem też uczonych z innych uniwersytetów i w przyszłym roku chciałbym poznać też inne ośrodki badań, a przy tej okazji odwiedzić Pana w Dortmundzie.

Wszystko to jednak jest w tej chwili dla mnie rzeczą uboczną, bo w tym roku wziąłem się do innej pracy obliczonej na dłuższy termin. W 1958 będzie mianowicie obchodzone — zdaje się, że tylko we Włoszech — 2000-lecie Owidiusza, o którym chciałbym z tej okazji napisać małą książeczkę. Owidiusz — głównie za sprawą filologów i krytyków francuskich — został przed stu laty zaliczony do drugorzędnych wierszopisów, i nikt prawie się nim odtąd na serio nie zajmował. Trudno jest na tak stary temat powiedzieć coś nowego, wybrałem się więc tego lata do Sulmony, miejsca urodzenia Owidiusza, gdzie filolodzy niczego dotąd ciekawego nie znaleźli. Jest to nie odkryte dotąd przez turystów miasteczko — niespełna 30.000 mieszkańców — w Abruzzach, na drodze z Rzymu do Pescary, niedalekie również od Neapolu. Pojechałem tam na kilka dni, a zostałem 6 tygodni. Poznanie od wewnątrz — nie od strony turystycznej — Włoch Południowych i zakresu kultury neapolitańskiej było dla mnie wielkim odkryciem. Sulmona żyje dotąd

wspomnieniami i legendami o swoim poecie. Jako pierwszy cudzoziemiec odbywający pielgrzymkę do ojczyzny Owidiusza, byłem tam bardzo życzliwie przyjęty i znalazłem wielu, przeważnie młodych przyjaciół. Spotykając się z nimi każdego wieczoru, założyliśmy rodzaj wolnej akademii zwanej Academia della Pizza, od rodzaju blinów, będących narodową potrawą neapolitańczyków.

Włochy Południowe są biedne, mieszkańcom ich brak samochodów i innych kosztownych rozrywek, zajmują się więc czytaniem i literaturą. Mam wrażenie, że w samej Sulmonie czytają więcej niż w całej Szwajcarii. Znalazłem się więc tam niejako w swoim żywiole i chciałem tam wrócić we wrześniu 1957, na początek tamtejszego *anno ovidiano*, uroczystości kommemoracyjnych projektowanych na cały rok. Nie mniej ciekawy jest Neapol. Jest to nie tylko najpiękniejsze miasto Europy, mające nieprzerwaną ciągłość kultury na przestrzeni 2,5 tysiąca lat, ale także siedziba wielkiego ruchu umysłowego, mało znanego poza Włochami. Od 2 lat czytam więcej po włosku niż w jakimkolwiek języku.

Podczas mego pobytu w Monachium zaczęły się tak zwane wypadki październikowe w Warszawie². Dzięki sprawności organizacji Free Europe, można je było śledzić niemal z godziny na godzinę. Wydawało się, że wszystko potoczy się tak, jak później na Węgrzech. Rzecz jednak wzięła inny obrót, bo na czele ruchu przeciw sowieckiego stanęła sama partia, która — posiadając pewną organizację i świadomość spraw międzynarodowych — zdołała opanować sytuację i zatrzymać kraj na samym brzegu przepaści. Pancerne dywizje sowieckie stały już o kilkadziesiąt km od Warszawy, naprzeciw zastępującej im drogę armii Rokossowskiego. Partia przygotowywała się już od 1,5 roku do tej dramatycznej rozgrywki, która była niespodzianką dla Kremla.

Na Węgrzech partia składała się z stalinistów i ruch opozycyjny przeszedł od razu w ręce ludu nie znającego granicy wolności w systemie podziału świata między Rosją i Ameryką i liczącego na pomoc Zachodu. Zresztą po interwencji zbrojnej na Węgrzech sytuacja w Polsce stała się również niepewna. Miarą uzyskanych tam swobód jest fakt, że z więzień wyszli nie tylko nieprawomyślni komuniści, ale także więźniowie sekretnie skazani przez tajne wyroki. Nawet Henryk Józewski³, który ukrywał się przez 8 lat, a przed 2 laty został schwytany z tajnym wyrokiem skazany na dożywotnie więzienie, jest znów na wolności. Gazety warszawskie wypowiadają się z większą swobodą niż gazety emigracyjne. Wszystko to stworzyło zupełnie nową sytuację, którą trzeba będzie na nowo przemyśleć. Na razie do kraju się nie wybieram.

Przesyłam Panu, Kochany Panie Janku, i Pańskim bliskim najserdeczniejsze życzenia wesółych świąt, szczerze oddany
Jerzy Stempowski

¹ [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Spotkanie historyków w Tybindze*, Kultura 1956 nr 12 s. 114–119.

² W październiku 1956 r. następuje kulminacja napięcia społecznego: w związku z pogłoskami o przygotowaniach do puczu wojskowego w celu likwidacji tzw. „odwilży” powstają samorzutnie rady robotnicze, pracownicy FSO na Żeraniu w Warszawie organizują uzbrojoną milicję, powstają robotnicze oddziały samoobrony, wrzenie ogarnia szkoły wyższe. W kierunku Warszawy posuwają się sowieckie kolumny pancerne. Władze nie mogą liczyć na lojalność Wojska Polskiego. W dniach 19–21 X obraduje pod presją społeczną burzliwe VIII Plenum PZPR. Pojawia się w Warszawie delegacja sowiecka z Chruszczowem, „Prawda” moskiewska oskarża prasę polską o prowadzenie systematycznej kampanii przeciw socjalizmowi. Następują zmiany personalne w aparacie władzy: I sekretarzem KC PZPR wybrany zostaje Władysław Gomułka.

Wypadki węgierskie — 23 X 1956 po manifestacji mieszkańców Budapesztu pod pomnikiem gen. J. Bema, demonstrujących solidarność z Polską, doszło do starć z milicją, która otworzyła ogień. Spontanicznie powstały oddziały bojowe, żołnierze oddawali broń cywilom lub przechodzili

na stronę demonstrantów. W całym kraju zaczęły powstawać rady rewolucyjne przejmujące władzę. 1 XI nowy premier Imre Nagy wypowiedział członkostwo Węgier w Układzie Warszawskim, ogłosił neutralność państwa i zwrócił się do ONZ o pomoc. Domagał się przyspieszenia wycofywania wojsk sowieckich z Węgier. 3 XI rozpoczęły się negocjacje w tej sprawie w ambasadzie sowieckiej, ale delegacja węgierska została aresztowana, a następnego dnia 1000 czołgów sowieckich, wspartych przez piechotę i lotnictwo, wjechało do Budapesztu. Mimo ogromnej sowieckiej przewagi militarnej walki uliczne trwały kilka dni, obie strony poniosły znaczne straty, tysiące domów zostało zniszczonych. Rozpoczął się masowy exodus Węgrów za granicę. Nagy wraz ze współpracownikami został uwięziony i po tajnym procesie stracony w 1958.

³ Henryk Józewski (1892–1981), polityk, działacz państwowy; artysta malarz. W roku 1920 wiceminister spraw wewnętrznych w rządzie ukraińskim atamana Symona Petlury. W latach 1929–1938 wojewoda wołyński. W latach 1924–1925 założył i prowadził wraz ze Stempowskim „Bibliotekę Pstrykońską”, serię wydawniczą, w której ukazały się trzy tomiki, dwa z litografiami Józewskiego, jeden z esejem Stempowskiego pt. *Pielgrzym*. W czasie okupacji aktywny w konspiracji, po wojnie więziony.

15.

21.III. [19]62

Jerzy Stempowski
Nydsggasse 17 Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za list z 9-go o Pańskich projektach autorskich i wydawniczych. Dziękuję również za propozycję wzięcia w nich udziału. Huculszczyzna zajmuje tak ważne miejsce w moich wspomnieniach, że pisałbym o niej z największą przyjemnością, aby w myśli przynajmniej wrócić w tamte strony. Ale jak się do tego wziąć?

Rzecz w tym, że znana nam Huculszczyzna była jak śpiąca królewna, śniąca swój dziwny sen o starowieku, ale którą wystarczyłoby obudzić, aby zaczęła mówić, śmiać się, śpiewać, żyć i cieszyć się życiem. Ci, którzy o niej wówczas pisali, zachowywali się trochę jak królewicz mający ją obudzić: mówili jej komplementy, sławili jej urodę, chwalili nawet jej sen. Od tamtych czasów dzieli nas jednak straszna przepaść lat. Kto wie, co z niej jeszcze zostało? — Ludność jej zesłano częściowo na Syberię niewielu pewnie stamtąd wróciło. W „Suczasnoui Ukraini” czytałem wiadomość z prasy sowieckiej, że lasy na Huculszczyźnie wyrabano, zostawiając łyse góry. Wnosić stąd można, że Czeremosz i Cisa nie są już takie same i nie szumią jak dawniej. Nikt już pewnie nie pamięta starych zwyczajów dotyczących pracy i nie potrafi opowiedzieć historii Wielitów. Nie ma już pewnie dawnych budynków, nie zachowały się nawet nazwy plażów. Huculszczyzna jest dziś być może jak niegdyś piękna kobieta, której ślubowaliśmy miłość, lecz która straciła urodę i nawet pamięć, zmieniona do niepoznania przez straszną chorobę. Miłość, którą jej przyrzekaliśmy, jest wciąż żywa w naszej pamięci, ale przedmiotu jej już byśmy pewnie nie poznali. Najwierniejsze uczucia znają takie klęski. Nie możemy mówić o Huculszczyźnie jak dawniej, musimy znaleźć do tego nowe słowa, nowy ton. Jesteśmy trochę w położeniu Petrarcki, który przez całe życie pisał sonety do Laury, zrazu żywej, potem umarłej, zmieniając ton z jej śmiercią. Jak znaleźć te nowe słowa? Rzecz jest do przemyślenia. Projektowana przez Pana książka ma być dziełem zbiorowym, będą w niej więc różne głosy, różne tony, ale ktoś jeden przynajmniej powinien zaznaczyć przemianę, jaką przeżyła Huculszczyzna w naszej własnej pamięci i wyobraźni. Trzeba zapytać o to p. Stanisława¹. Niech Pan też pokaże mój list p. Orestowi, który, jako poeta, będzie na pewno mieć o tym swoje* zdanie.

Ponieważ myśli Pan o przedrukowaniu kilku tekstów dawniejszych, przychodzi mi na myśl, że Huculszczyzna miała już wielu piewców. Najpiękniejsze być może stronicie poza *Wysoką Poloniną* znaleźć można w *Galizische Erzählungen* Leopolda Sacher-Masocha, którego Niemcy nie tylko zapomnieli, lecz także wykreślili ze swej historii literatury. Nazwisko jego zachowało się tylko w patologii seksualnej, odeń bowiem pochodzi termin „masochizm”. Ale niezależnie od masochizmu Leopold von Sacher-Masoch (proszę nie mieszać go z żyjącym obecnie Aleksandrem Sacher-Masochem) napisał 20 tomów opowiadań galicyjskich, które w latach 1875–1900 były tłumaczone na francuski, rosyjski itd. Znaleźć w nich można najpiękniejszy opis Galicji Wschodniej z połowy XIX wieku. Część ich — jak *Don Juan aus Kolomea* — dotyczy Huculszczyzny. Próbowałem badać, czy autor zna z własnego doświadczenia wnętrza gór, i przekonałem się, że musiał być w Burkucie i Szykmanach, bo opis wiodącej tam drogi jest zupełnie dokładny. Warto by wybrać zeń jakiś dobry fragment lub nawet całą nowelę. Biblioteki niemieckie nie mają jego książek. We Wiedniu, gdzie ich przed paru laty szukałem, okazało się, że tylko biblioteka Opery zbierała, chociaż niesystematycznie, jego książki, i te tylko znalazły się obecnie w wiedeńskiej Nationalbibliothek. Ma Pan jednak pod ręką najlepsze źródło wiadomości w osobie jedynej córki Sacher-Masocha, która miała też wszystkie jego książki. Jest to żona Arthura Saternusa, mieszkająca na Manderscheiderstr. 29 w Köln-Sülz. P. Stanisław poznał ich na Węgrzech, pana Saternusa znam także i ja, może się więc Pan na nas powołać.

Słyszałem od p. Stanisława, że ciekawy opis Huculszczyzny znajduje się w dziełach Wincentego Pola, który był geografem, ale tekstu tego nie znam. Można go pewnie znaleźć w paryskiej Bibliotece Polskiej na 6, Quai d’Orléans, Paris 4-ème. Mogę tam o to zapytać.

Gdzieś w maju–czerwcu wybieram się do Frankfurtu a. M. i będąc tak blisko od Pana przyjechałbym do Dortmundu, żeby porozmawiać bliżej o Pańskich projektach, bo wszystkiego nie można omówić listownie. Dodam tylko, że Pański projekt uważam za świetny i warty najstaranniejszego wykonania.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
Jerzy Stempowski.

* a dla mnie bardzo ciekawe

¹ Tj. Stanisława Vincenza, autora *Na wysokiej poloninie*.

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Serdecznie dziękuję za list i odbitkę. Pańskie wspomnienia z Holandii czytałem już przedtem, bo abonuję „Suczansnist” od początku jej istnienia i nawet ją czytam. Bardzo się z tego artykułu ucieszyłem. Nie wiem, czy Panu mówiłem, że od 10 lat mieszkam tu z parą przyjaciół, małżeństwem szwajcarsko-holenderskim. Pani domu jest Holenderką, w której zachował się geniusz artystyczny tego kraju, bo jest doskonałą pianistką a jednocześnie przygotowuje wystawę, swoich obrazów i rysunków. Przetłumaczyłem jej Pański artykuł, który też uznała za bardzo ciekawy. Przyjrzałem się, fotografii z muzeum etno-

graficznego, z której widzę, że moja sympatia panna Irena bardzo urosła i jest prawie tego samego wzrostu co jej matka.

Vincenz zrobił się w ostatnich latach bardzo stary i prócz tego wiele podróżuje. Przysłała mi co kilka miesięcy kartkę, zawsze z innego kraju. Trudno się, z nim teraz skomunikować. Znałem kiedyś starego profesora, który mówił mi, że z powodu wieku nie może już odpowiadać na listy, ale niektóre czyta. Nie wiem, czy i Vincenz trzyma się tej zasady, ale widocznie to należy do wieku, bo i na moim stole leży z 50 listów, na które od miesięcy nie odpowiadam.

Bardzo dobrze wybrał Pan czas na wakacje, bo od połowy lipca do połowy września nigdzie już nie można znaleźć miejsca, i wszystkie letniska wyglądają jak dworce kolejowe w godzinach największego tłoku. Tak trudno odpocząć. W czerwcu jest bardzo przyjemnie we Włoszech. W wielu miejscach obudowano tam domki umeblowane z kuchnią, które można wynająć na miesiąc i żyć w nich jak u siebie za niewielkie pieniądze. Bardzo chwalono mi Jesolo-Lido koło Wenecji, nową stacją klimatyczną, gdzie zbudowano kilkaset takich domków. Bodaj że dokonało tego jakieś towarzystwo holenderskie, bo jeździ tam wielu Holendrów. Tak zagospodarowane miejscowości są teraz i w Grecji, ale to daleka podróż, gdy do Wenecji jest teraz od Pana niedaleko. Tu na dworcu widuję, pociąg Dortmund–Milano, którym raz nawet jechałem do Włoch. Z Jesolo pewnie chodzą co godzinę autobusy do Wenecji. Dla Pańskich córek takie wakacje byłyby niezapomnianym wrażeniem. Niech Pan zapyta w biurze turystycznym, które to Panu może załatwić, a w każdym razie pokazać prospekt z kosztorysem takiego pobytu. Na ogół pobyt we Włoszech nie jest droższy od pobytu w Niemczech, tylko Rzym jest bardzo drogi. Zresztą nie chcę Pana do niczego namawiać. Być może taka podróż z wielkim natłokiem nowych wrażeń nie jest odpoczynkiem i trzeba po niej z kolei odpoczywać.

Teraz chciałbym napisać o moich planach na najbliższe miesiące. Dostałem od studenckiego stowarzyszenia w Frankfurcie — Deutsch-polnischer Arbeitskreis — zaproszenia do wygłoszenia odczytu na temat stosunków emigrantów polskich do swego komunistycznego państwa. Odczyt ten miałby się odbyć w poniedziałek 18 czerwca. Myślę przyjechać do Frankfurtu już 15-go, a po odczycie wyjechać na jakieś dwa tygodnie do Holandii, gdzie ostatni raz byłem w 1923. W tej podróży będzie mi być może towarzyszyła pani Tzaut. Wszystkie te plany są na razie tymczasowe, bo frankfurckie stowarzyszenie nie odpowiedziało mi jeszcze na mój ostatni list. Kiedy tylko dostanę, odpowiedź, projekty staną się, konkretne i zaraz o nich Panu doniosę.

Bardzo się, cieszę z Pańskiego projektu przyjazdu do Szwajcarii. Góry tutejsze dają niezliczone możliwości wycieczek. Koło Berna są góry różnej wysokości i natury. Moje ulubione góry są bardzo blisko. Jest to Stockhornkette nie przekraczająca 2.200 m., bardzo znana w XVIII w., dziś natomiast nieuczęszczana, bo niższe góry nie są w modzie u alpinistów. Stockhornkette jest bardzo podobna do naszych Karpatów, ma tylko więcej skał i przepaści. Od strony berneńskiej jest na niej bardzo wygodne schronisko, skąd, już na wysokości 1660, można robić jednodniowe wycieczki różnej długości i natury. Zawiódłbym tam Pana i wprowadził. Nie wiem, czy towarzyszyłbym Panu w dłuższych wycieczkach, bo bardzo wyszedłem z formy i ostatnio reumatyzm przeszkadza mi w chodzeniu. Już w pierwszych dniach czerwca góry te są zazwyczaj wolne od śniegu. Niedaleko od Berna jest jednak także główny łańcuch Alp Berneńskich, z Jungfrau, Eigerem i innymi sławnymi szczytami. Tam sezon alpinistyczny zaczyna się w lipcu, i na szczytach robi się wielki tłok. Gdyby Pan chciał je zobaczyć, jest tam wiele kolejek zębatych i linowych, wspinających się na znaczną wysokość. W moich projektach leży od lat przejście między Alpami Berneńskimi i Valezańskimi przez Raviłpass, gdzie raz już byłem przed wielu laty. Jest to jedna z najdzikszych i najmniej uczęszczanych partii gór, przemarsz jest długi — na moje obecne zdolności liczyć

trzeba 2–3 dni — i wysokość przełęczy wynosi 2.500 m. Przypuszczam, że Raviypass jest wolny od śniegu dopiero w połowie lipca. Schodzi się zeń w dolinę Rodanu — Rhodanus flumen, jak go nazywa Juliusz Cezar — i z góry ma się dobry widok na całe pasmo Mont-Blanc. Gdyby Raviypass był wolny od śniegu, moglibyśmy spróbować tego przejścia. Wszyscy alpinisci w nim błądzą i wpadają w okropne przygody, ale najtrudniejszą jego część dobrze pamiętam i potrafię znaleźć drogę. Jest to miejsce nawiedzane przez trzęsienia ziemi, które pozasypywały drogi znajdujące się na mapach, ale my w Karpatach nauczyliśmy się obchodzić bez dobrych map. Stockhornkette i Raviypass nie wymagają ekwipunku technicznego ani nawet podkutych butów.

Trzeba tylko, żeby nasze itineraria były zgodne w czasie. Terminem wiążącym mnie jest tylko odczyt w Frankfurcie, inne są bardziej elastyczne.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
J.S.

17.

22.V [19]62

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Dziękuję, za list i wycinek o Pańskim odczycie, który zwracam. Może będzie Panu na coś potrzebny. Muzyka ludowa interesowała mnie bardzo. Ilekroć spotykałem się z Sygietyńskim Tadeuszem, który był największym znawcą tego przedmiotu, rozmawialiśmy całymi wieczorami, przeglądając jedną melodię za drugą. On pierwszy nauczył mnie odróżniać w niej różne nawarstwienia. Są więc motywy prastare, z głębi wieków, towarzyszące różnym czynnościom i obrzędom. Niektóre np. śpiewa się pasąc konie, inne wychodząc na robotę z końmi, inne pasąc owce itd. Tych motywów jest niewiele. Pieśni na dwa i więcej głosów pochodzą z XVII–XVIII w. Ponieważ liturgia bizantyńska jest cała śpiewana, każda cerkiew miała od początku swój chór, śpiewający rano w cerkwi a wieczorem w karczmie, na weselach, chrzcinach itd. Na polskim skrawku Wołynia były chóry mające za sobą 7–8 wieków nieprzerwanej działalności. Niektóre miały nuty z XVII w., których bez znajomości paleografii nie można było obcemu odczytać. Dla tych przyczyn pieśni ukraińskie mają charakter szkolony. Pierwotnie pieśni śpiewane w cerkwiach napisane były na 10-tonową gamę bizantyńską, której ślady słychać w pieśniach i melodiach huculskich. W XVII w. przyszła muzyka włoska z włoską gamą 12-tonową. Nie wiem, jaką drogą to się odbyło, pewnie przez Polskę, ale tam, gdzie jest tyle wyszkolonych chórów, wystarczy pewnie przywieźć nuty, aby nowa muzyka się przyjęła. Trzeba też brać pod uwagę, że muzyka, barokowa poza Włochami była w XVII w. przeważnie muzyką wokalną, *a cappella*, była więc jak najlepiej przystosowana do ukraińskich chórów cerkiewnych. Potem włoska muzyka barokowa została na Zachodzie wyparta przez niemiecką *Schriftmusik* i muzyki starszej od Bacha do niedawna na Zachodzie wcale nie znano; utworów *a cappella* nikt nie umiał śpiewać. Tradycje włoskiej muzyki barokowej zachowały się tylko na Ukrainie. Tylko tamtejsze chóry mogłyby w stosowny sposób śpiewać utwory *a cappella* Heinricha Schütza, które na Zachodzie wykonywane są raz na 30 lat. Musiałem odbywać podróże, aby je posłyszeć. Shakespeare mówi często o muzyce, ale ze słów jego od razu widać, że ma na myśli coś innego od Bacha czy Haydna. Aluzje jego odnoszą się do muzyki barokowej, jaką znamy dziś, zresztą bardzo pobieżnie, z Monteverdiego i Schütza, i która właściwie jest nam nierównie bliższa

od późniejszej *Schriftmusik*. W muzyce, jak w ogóle w sztuce ludowej, pełno jest wspomnień Baroku, nieraz wielkiej sztuki barokowej. Osobliwością chórów ukraińskich było ich wysokie wykształcenie. Kiedyś byłem w Poczajowie i na drodze spotkałem dwóch dziadów i dwie baby śpiewających na cztery głosy. Szedłem za nimi przez cały prawie dzień i uszedłem ze 20 km, nie mogąc się od nich oderwać. Gdyby chóry operowe na Zachodzie umiały tak śpiewać, chodziłbym co wieczór do opery. Kiedy chór Koszyca¹ w 1921 wyjechał z Polski na Zachód, najlepszy chór paryskiej Scholi Cantorum brał od Koszyca przez dłuższy czas lekcje, i w kilka lat później słyszałem w Paryżu koncert, na którym chór Scholi Cantorum śpiewał przez cały wieczór pieśni ukraińskie, jakich nauczył się od chóru Koszyca. Był to wówczas najlepszy chór Zachodu, ale nie dorastał do zespołu, który Koszyca zebrał na Wołyniu po 1920. Dopiero w ostatnich latach pojawiło się, w Paryżu kilka zespołów wokalnych tej klasy, z których najciekawszy jest Ensemble Marcel Couraud, śpiewający utwory barokowe w sposób przypominający chóry ukraińskie. W tej wielkiej perspektywie muzyka ludowa ukraińska, rumuńska i rosyjska odsłaniają swój głębszy sens.

Bardzo dziękuję, Panu, kochany Panie Janku, za propozycje, zainteresowania moim odczytem socjaldemokratów dortmundzkich. Trzeba jednak naprzód zobaczyć, co wyjdzie z mego odczytu we Frankfurcie, jak się potoczy dyskusja i co interesuje w tym temacie słuchaczy niemieckich.

Co się tyczy Sacher-Masocha, panią Martę wprowadziło zapewne też w błąd tak zwane wydanie berneńskie dzieł jej ojca. W rzeczywistości było to wydanie fikcyjne, drukowane w Dreźnie i noszące tylko na pierwszej stronie słowo Bern, być może z powodu różnych nieporozumień, jakie autor miał z cenzurą w Niemczech. Wiedząc o fikcyjności tego wydania, myślałem, że zostawiło przynajmniej jakiś ślad w Bernie, ale szukałem go tu na próżno w bibliotekach. Zacząłem więc szukać go w starych czytelniach, z których pożyczał książki Lenin w latach swej emigracji. W jednej czytelni znalazłem istotnie *Das Vermächtnis Kains* — *opus magnum* Sacher-Masocha — ale figurowało tam w spisie książek, których od 50 lat nikt nie żądał. Leżało w osobnym składzie i dopiero po kilku dniach mi to znaleziono. Wypożyczenie tej książki kosztowało mnie 25 franków. Myślę, że za tę cenę można ją także kupić. W Niemczech istnieje znów, o ile wiem, biuletyn antykwarzy, w którym można dać ogłoszenie, że się poszukuje książek Sacher-Masocha. Na ogłoszenie takie przysyłają oferty z ceną. Najtrudniejszą do znalezienia książką jego jest powieść *Die Helden unserer Zeit*, będąca satyrą na Berlin i Prusaków po Sadowie². Nawet we Wiedniu, gdzie na pozór powinny się znajdować, dzieła Sacher-Masocha są bardzo rzadkie i nikogo nie interesują od 1900. Najwięcej ich, jakkolwiek nie wszystkie, znajduje się w bibliotece Opery wiedeńskiej, wcielonej ostatnio do wiedeńskiej Nationalbibliothek, ale i tam nawet satyry na Prusaków nie znalazłem. Książka ta była przyczyną różnych nieszczęść autora i zapewne powodem wykreślenia jego nazwiska ze wszystkich historii literatury niemieckiej. Fakt ten daje pojęcie o tym, ile są warci profesorowie historii literatury i ich podręczniki. Nazwisko S.-M. i tytuły głównych jego dzieł znaleźć można tylko w encyklopedii Brockhousa. Później, po śmierci autora przedrukowywano tylko dwie jego książki: *Venus im Pelz*, powieść wchodząca w skład *Dziedzictwa Kaina* i z której wyszło słowo „mazochizm”, oraz *Don Juan aus Kolumbea*. Tę ostatnią książkę znajdzie Pan najłatwiej u antykwariuszy, bo została przedrukowana w małej bibliotece Reclama w kilkudziesięciu tysiącach egzemplarzy. Jest to mała książeczka, która nowa kosztowała 80 Pf. Sacher-Masocha odkryłem na mój użytek w 1936 i zamierzałem wydać wybór jego dzieł po polsku i po niemiecku z moim studium o autorze. Jeżeli tego dotąd nie wykonałem nawet częściowo, przyczyną tego była niedostępność jego książek.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
J.S.

¹ Oleksander Koszyc (1875–1944), dyrygent, kompozytor i etnograf ukraiński; dyrygent znakomych chórów i orkiestr kijowskich. W latach 1919–1924 odbył światowe *tournee* z założonym przez siebie chórem ukraińskim. W roku 1926 osiadł w Nowym Jorku.

² W bitwie pod Sadową w roku 1866 wojska pruskie pokonały armię austriacką. Zwycięstwo to potwierdziło hegemonię Prus wśród państw niemieckich i otworzyło drogę do zjednoczenia Niemiec pod egidą Prus.

18.

13.IX.[19]62

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
Bern

Kochany Panie Janku,

Bardzo dziękuję za list z Dortmundu i cieszę się, że znalazł Pan trochę książek Sacher-Masocha. Przy tej lekturze proszę brać pod uwagę, że S.-M. pisał dla pieniędzy i ogłosił koło 400 tomów powieści i nowel na różne tematy. Pewnego rodzaju skandaliczność pomaga bardzo w zbyciu książek, i w tym zapewne leży prawdziwe źródło tak zwanego masochizmu. I dziś jest w literaturze tak samo, tylko że doza skandaliczności i pornografii musi być znacznie większa, aby zwrócić uwagę czytających. Takie książki jak *Lolita* Nabokowa są szczytowym osiągnięciem w tej dziedzinie, i w porównaniu z nimi Sacher-Masoch jest lekturą dla młodych panienek.

Najważniejszym dziełem S.-M. jest *Das Vermächtnis Kains*, zbiór dłuższych opowiadań w 3 lub 4 tomach. Akcja tych opowiadań toczy się w znacznej części w Galicji Wschodniej. Tam też znajduje się arcydzieło masochizmu p.t. *Venus im Pelz*, z którego widać, że cały ten masochizm jest wymyślony, literacki, zresztą świetnie opisany. To opowiadanie sprawiło, że cały zbiór był wielokrotnie przedrukowywany.

Książka, która najwięcej przyczyniła się do zapomnienia S.-M. i wykreślenia go z historii literatury niemieckiej, jest innej natury. Jest to wielotomowa powieść p.t. *Die Helden unserer Zeit* i jest rodzajem satyry na berlińską societę z czasów Bismarcka, i tego profesorowie hist[orii] literatury dotąd autorowi nie przebaczyli, mimo że Bismarcka i nawet Prus już dawno nie ma.

S.-M. był przez pewien czas docentem historii w Grazu, i produktem ubocznym jego historycyzmu są niezliczone powieści historyczne, częściowo odnoszące się do historii Rosji, bo S.-M. znał rosyjski i mógł czerpać materiały z pierwszej ręki. Tych powieści historycznych w ogóle lepiej nie czytać, bo napisane są wyraźnie za pieniądze lub raczej dla pieniędzy. Tylko powieści i nowele galicyjskie są coś warte, bo S.-M. czuł się w jakiś sposób przywiązany do kraju urodzenia i wciąż doń w myśli powracał. W jego ogromnej produkcji, obok rzeczy doskonale napisanych i przemyślanych, jest wiele śmiecia, pisanego prędko dla zarobku. Nie trzeba się więc zrażać łatwiznami i tanimi produktami pióra, ale szukać tekstów lepszych.

W liście książek, jaką Pan przytacza, większości tytułów nie znam zupełnie, nie widzę natomiast opowiadań, które wydały mi się najlepsze. Pamiętam np. opowiadanie dłuższe p.t. *Hadaschka*, którego akcja toczy się w okolicy Nadwórnej.

Jeżeli chodzi o *Don Juana z Kołomyi*, uważam go za jedno z lepszych opowiadań. Jego romantyczny styl jest dziś zupełnie niemodny, ale ma już urok antyku, bo od pół wieku nikt już w ten sposób nie pisze. W opowiadaniu jest wiele ciekawych szczegółów.

Karczma, w której rozgrywa się pierwsza scena, jest koło pierwszej stacji na drodze z Kołomyi do Słobody. W naszych czasach już tam takiej karczmy nie było, ale pozostały jej jakieś szczątki. Czy Pan je pamięta? Innym zabawnym szczegółem jest fantastyczny filozof, który pisał aforyzmy na kartkach i rzucał je za siebie. Taki człowiek istniał rzeczywiście i pochodził z ormiańskiej, zapewne kuckiej rodziny Romaszkanów. Ostatni potomek Romaszkanów był w 1940 na Węgrzech i chciałem go wypytać o tego osobliwego przodka, ale uchodźcy z Polski byli strasznie rozproszeni po całych Węgrzech, i szukałem go na próżno. Starszy Vincenz zna trochę jego historię.

Niech Pan nie daje się zbić z tropu tym, co piszą o S.-M. niemieccy krytycy, profesorowie i historycy literatury, bo żaden z nich nic z S.-M. nie zrozumiał. Oni to właśnie go zaprzepaścili. Niemcy nie rozumieli nigdy autonomicznej wartości literatury, sądzili ją zawsze z punktu widzenia użyteczności politycznej, wychowawczej. Nie znali się na żartach. Pisarz, który w razie mobilizacji powszechnej mógłby ewentualnie być innego zdania lub, co nie daj Bóg, zdezerterować, nie był tolerowany. Literatura nie dająca się ustawić *in Reih und Glied*¹ była odrzucana. Dlatego nawet *Lucinda Fr. Schlegla* jest po dziś dzień jak gdyby w indeksie, Heinego wydają tylko u Ulbrichta itd. Można z góry przyjąć, że wszystko, co *die Professoren* piszą o S.-M., jest głupstwem, i trzeba starać się przemyśleć rzecz samemu. To np., co Pan cytuje z życiorysu S.-M. o jego powrocie u Francuzów, jest wierutnym głupstwem i nie odpowiada rzeczywistości. Po francusku ukazało się koło 20 tomów powieści i opowiadań S.-M. w doskonałym tłumaczeniu i świetnym wyborze, same tylko opowiadania z Galicji Wschodniej, żadnych powieści historycznych i żadnych prawie masochizmów prócz jednej *Venus im Pelz*, która jest pewnego rodzaju arcydziełem analizy. Francuzi poznali się na S.-M. w tym samym stopniu, w jakim niemieccy profesorowie nic z niego nie rozumieli. Jeżeli S.-M. został ośmieszony i zapomniany we Francji, było to dziełem bardzo osobliwej i perfidnej intrygi niemiecko-żydowskiej, o której kiedyś Panu opowiem.

Jeżeli chodzi o ucrainica językowe S.M. trzeba brać pod uwagę, że w jego czasach prawdziwy język ukraiński istniał w Galicji głównie w formie dialektalnej, i że znajomi S.M. mówili „jazyczem”, jak dziś na Rusi Zakarpackiej. S.M. wahał się nawet, czy pisać po niemiecku, czy po rosyjsku, czyli jazyczem. Gdyby był wybrał tę drugą drogę, mielibyśmy zdumiewający swą lekkomyślnością tekst literacki w języku stworzonym tylko do kazań i urzędowych przemówień. *Das Vermächtnis Kains* poprzedza obszerny wstęp, gdzie S.M. mówi o sobie. Z tego wstępu można się o nim samym najwięcej dowiedzieć.

Najserdeczniejsze pozdrowienia przesyła Panu, kochany Panie Janku, szczerze oddany
J.S.

Rączki Pańskiej Malżonki całuję, i obie panienki, pannę Renatę i Pannę Irenkę pozdrawiam najserdeczniej.

P.S. W ostatnim Numerze „Kultury” znajduje się obszerny dziennik mojej podróży do Holandii². Czy przysłać go Panu?

¹ *in Reih und Glied* (niem.) — w szeregu.

² [J. Stempowski] P. Hostowiec, *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*, Kultura 1962 nr 9 s. 25–48.

Kochany Panie Janku,

Dziękuję za list, który dopiero teraz otrzymałem. Bardzo się cieszę z wszystkiego, co Pan pisze o swoim małżeństwie i o swej żonie. Dobra żona jest największym skarbem, ważniejszym od milionów i honorów.

Piszę do Pana z drogi, żeby mój list znalazł Pana jeszcze przed odjazdem do Paryża. Bardzo się Panu ta podróż dobrze kalkuluje, bo Paryż jest najdroższym miastem Europy, i 200 DM starcza tam w najlepszym razie na dwa dni.

Bardzo jestem ciekawy wrażen, jakie Pan i żona wyniosą z tej podróży. Na pierwszy rzut oka Paryż jest najsmutniejszym miastem na świecie. Z jego murów bije coś przygnębiającego. Jest to być może pamięć wieków pewnych wielkich poczynań, wielkich wypadków, z których na dłuższą metę nic nie wyszło i został tylko wielki katenjammer, *Weltschmerz*. Za pierwszym pobycem po miesiącu dopiero zacząłem się z tego uczucia otrząsać. Wraca ono do mnie znów za każdym nowym pobycem. Rozległość, wielkość tego *Weltschmerzu* jest być może tym, co Paryż ma dziś najlepszego do ofiarowania.

Kiedyś Paryż był stolicą nowej sztuki, centralnym laboratorium myśli, ale te czasy — które pamiętam z młodości — minęły. Dzisiejszy Paryż jest miejscem jałowym, w którym nic się ważnego nie dzieje. Dlatego radziłbym Państwu oglądać miasto jak wszyscy turyści, zobaczyć Notre-Dame, Wieżę Eiffla, Louvre (ogromna galeria obrazów starych, na których obejrzenie trzeba kilku dni), Musée d'Art Moderne (obrazy XX wieku, szkoły francuskiej), Place Vendôme z posągami Napoleona na kolumnie, Place de l'Etoile z Łukiem Triumfalnym, widocznym z daleka. Wszystkie te rzeczy figurują pewnie w programie wycieczki, prócz może Musée d'Art Moderne. Jeżeli Państwo będą mieli trochę czasu wolnego od zwiedzania, najlepiej byłoby przejść się trochę po mniej hałaśliwych ulicach, na przykład po Wyspie św. Ludwika (l'île Saint-Louis) lub po Rue de Rivoli (Arkady). Wyspa jest stara, rue de Rivoli oddaje czasy Napoleona, można więc rzucić okiem na dwa aspekty historyczne miasta.

Najlepiej zacząć od kupienia planu miasta *Par arrondissements* z osobnym planem każdej z 20 dzielnic, z planem métro i spisem ulic. Kto raz był w Paryżu, wraca tam później, i z planem miasta nie zgubi się w nim.

Mam nadzieję, że kiedyś przyjadą Państwo tam, kiedy i ja będę w Paryżu, i że będę im mógł służyć za przewodnika.

Teatry bardzo podupadły w Paryżu i mogę tylko przed nimi przestrzec. Gdyby Państwo chcieli jednak coś w teatrze zobaczyć, radziłbym pójść do Théâtre de la Huchette, na rue Huchette, przecznica Boulevard Saint-Michel, koło samej Sekwany. Grane tam od 12 lat bez przerwy dwie sztuki Ionesco, zabawne i [...] nie wymagające większej znajomości francuskiego.

Proszę się pilnować samochodów, które jeżdżą tam prędzej niż gdzie indziej, i przechodzić ulice przy semaforach, bez pośpiechu i niecierpliwości.

Najserdeczniejsze życzenia dobrej podróży i szczęśliwego powrotu przesyła Panu, kochany Panie Janku, i rączki Pańskiej małżonki całuje szczerze oddany
J.S.

P.S. Wracam właśnie z Jugosławii, o której przy okazji opowiem. Bardzo ciekawy kraj.

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17
3000 Bern

Drogi, kochany Panie Janku,

Dziękuję najserdeczniej za dwa listy. Bardzo się cieszę, że wydał pan córkę dobrze za męża. Wysłałem jej telegram z gratulacjami, ale — bez Pańskiej pomocy — nie odgadłaby pewnie od kogo go otrzymała. Nazwisko jej męża jest mi w jakiś sposób znane z młodości. Był jakiś uczony tego nazwiska, ale nie mogę go sobie dokładniej przypomnieć.

Jak się miewa moja sympatia Irenka? Ile teraz ma lat? Czy rozwinęła się trochę? Czy mówi więcej niż wówczas, kiedy ją poznałem?

Nie udało mi się do Pana przyjechać, ale nie porzucam tej myśli. Jest mi trochę trudno jeździć, bo na skutek zaburzeń mózgowych trapiących mnie od trzech blisko lat postarzałem bardzo. Tak się przynajmniej czuję. Jestem jak Churchill, który zasypiał na posiedzeniach rady koronnej. Niedawno widziałam naszego dawnego gazdę Stanisława Vincenza. On też bardzo się postarzał i prawie wcale nie chodzi. Pani Rena¹ wozi go wózkiem jak inwalidę. Pamięć ma zawsze świetną, ale też zasypia na radzie koronnej. Ostatnio zaczął otrzymywać listy ze Słobody². Po ćwierci wieku milczenia tamtejsi znajomi piszą doń wzruszające listy i zapraszają do odwiedzin. Vincenz pytał mnie nawet, czy nie pojechałbym z nim na kilka tygodni do Słobody, mnie jednak te zaproszenia wydają się trochę podejrzone. Przysłano mu także fotografie, z których widać, że strojów huculskich więcej nie ma, i że chodzą tam obdarci jak bolszewicy. Huculsczyzna istnieje więc już tylko w naszej pamięci. Lasy są wyrąbane — o tym pisano w prasie sowieckiej — strojów nie ma, budynki częściowo rozebrane. Okazuje się, że ludzie są najtrwalszym materiałem. Upadają imperia, miasta walą się w gruzy, a ludzie wypelzają z ruin żywi, z plecami osypanymi tynkiem, jak pluskwy.

Bardzo dziwne były losy weneckich malarzy settecenta. Znany był z nich tylko Antonio Canale. Francesco Guardi, największy być może z nich artysta, był tak mało ceniony, że muzea nie kupowały go, i do 1922 można było jego obrazy kupić tanio na wolnym rynku. Stąd takie kolekcje jego obrazów w muzeach biednych, jak Varosliget w Budapeszcie, posiadające 22 obrazy Guardiiego, z czego kilka zaliczanych do najpiękniejszych. W 1936, kiedy w Paryżu zebrano obrazy z muzeów włoskich, Guardiiego musiano wypożyczyć od Gulbenkiana. Inny świetny malarz Pietro Longhi uchodził za ilustratora i przechowywany był w Museo Correr, poświęconym historii Wenecji. Dziś największa jego kolekcja znajduje się w Wenecji w Palazzo Pésaro, zmienionym na muzeum. Bernardo Bellotto pozostawał nieznanym historykom sztuki aż do 1948, czy nawet 1955. W Wenecji nie ma ani jednego płótna Bellotta. Najpiękniejsze były w Warszawie. Mam o tych ostatnich książkę bardzo pięknie ilustrowaną. Zwłaszcza szczegóły dają o życiu XVIII wieku lepsze pojęcie od wszystkich książek. W wiedeńskim Kunstmuseum jest kilka obrazów wcześniejszych niż warszawskie, i nie dorównywujących im. Nie znam tylko jego obrazów z Ermitażu i z Moskwy.

Jeżeli Pan ma krewną pracującą na Lido di Jesolo, przypuszczać można, że będzie Pan z żoną nieraz w Wenecji. Od połowy lipca do połowy września Wenecja jest zbyt obciążona turystami, trzeba tam jechać wiosną, w początku lata lub jesienią. Wenecja ma bardzo piękne muzea — Accademia, Museo Correr na piazza San Marco, Pésaro itd. — ale na mój gust najpiękniejszą rzeczą są wędrowki po t.z. Venezia Minore, po mniejszych uliczkach miasta.

Wiedeń widziałem po wojnie w 1957 czy 1959, podczas festiwalu młodzieży³. Miasto mało zniszczone było w czasie wojny, a te ślady zostały zatarte. Widać wprawdzie, że

niektóre domy nie są z epoki, ale to nie razi. Wiedeńczycy zachowali dawną lekkomyślność. Mogłem się o tym przekonać odwiedzając wesołe miasteczko Grinzing, gdzie we wszystkich domach piją heurigera i śpiewają na cały głos. Na każdym szynku w Grinzingu wisi nad drzwiami korona Bachusa, jak w dawnym Rzymie. Jest to zapewne wspomnienie z czasów Marka Aureliusza, który rezydował przez długie lata w Vindobonie. Miasto ciekawe, ale oderwane od swej habsburskiej przeszłości, bardziej prowincjonalne dziś od Paryża, gdzie zresztą najlepiej widać zdeklasowanie Europy.

Kochany Panie Janku, życzę Panu wesołych wakacji, przyjemnych dni we Wiedniu i Wenecji. Proszę się nie zniechęcać moim milczeniem, bo często o Panu myślę. Będę bardzo rad, jeżeli się pan do mnie odezwie. Najserdeczniejsze wyrazy przyjaźni łączą i rączki Pani Gerdy całują. Szczerze oddany
J.S.

Poprawka: W Wenecji nie mówi się palazzo, ale Ca, zatem Ca'Pésaro.

¹ Irena Vincenz (1901–1991), żona Stanisława Vincenza, autorka dziennika o pisarzu (drukowany w kwartalniku „Regiony”, w 2003 ukaże się nakładem Fundacji Pogranicze w Sejnach); przygotowała do druku obydwa powojenne wydania *Na wysokiej poloninie* (londyńskie — Oficyna Poetów i Malarzy — i warszawskie — PAX).

² M.in. od Olhy Duczmińskiej, pisarki ukraińskiej zaprzyjaźnionej z Ireną i Stanisławem Vincenzami od lat 20. Część korespondencji opublikował Andrzej Vincenz pt. *Galązka z dalekiej polonin*, Znak 1985 nr 6 s. 102–115.

³ Zob. dziennik tej podróży: *Notatnik nieśpiesznego przechodnia*, Kultura 1960 nr 1–2 s. 15–33. Przedruk: *Od Berdyczowa do Rzymu*. Paryż 1971; *Od Berdyczowa do Lafitu*. Wołowiec 2000.

21.

23.II.[19]67

Jerzy Stempowski
Nydegasse 17

Kochany Panie Janku,

Najserdeczniej dziękuję za list. Bardzo się cieszę, że książka Kota¹ się Panu podobała. Proszę jej nie zwracać. To jest prezent od „Kultury” dla starego abonenta, jakim Pan jest. Słusznie się Panu ta książeczka należy. W jej ocenie ma Pan rację. Ugoda hadziacka była prawdziwą musztardą po obiedzie. Trzeba było ją robić przed Chmielnickim. Potem już nikt w ugodę nie wierzył. To jest zapewne główna przyczyna jej niechlujnej redakcji. Nie wiem natomiast, czy ma Pan rację sądząc, że Niemirycz² był skompromitowany swoją kolaboracją ze Szwedami. Połowa szlachty była tak samo skompromitowana. W tamtych czasach wyznania były płynne, ludzie zmieniali je wciąż, powstawały coraz nowe grupy wyznaniowe, i nikt się temu nie dziwił. Tak samo wierność królowi, pojęcie średniowieczne, była traktowana mniej rygorystycznie. W końcu XVII wieku, po tyłu wojnach religijnych i zatargach wewnętrznych, przestano cokolwiek brać na serio. Młody lord Antony Shaftesbury wystąpił nawet przeciw angażowaniu się uczuciowemu w sprawy religijne i polityczne, radząc sceptycyzm i uczucia letnie we wszystkich dziedzinach, jako bardziej odpowiadające ludziom wykształconym. Z jego teorii, która miała ogromny rozgłos w pierwszych latach XVIII wieku, wyrósł duch Oświecenia. Przebłyksi tej sceptycznej lekkomyślności widoczne były już w drugiej połowie wieku XVII, i bez tego ogólnego tła trudno byłoby sobie wiele ówczesnych zjawisk wytłumaczyć. Antycypację Oświecenia dostrzec można np. u Stanisława

Herakliusza Lubomirskiego w jego *Rozmowach Artaxesa i Ewandra*, które miały kilkanaście wydań.

Korzystam z tej okazji, aby zwrócić Panu fotografię pani Renaty. Bardzo piękne zdjęcie. Dziękuję najserdeczniej za jego łaskawe przysłanie. Pani Renata ślicznie wygląda. Pamiętam ją jako malutką dziewczynkę z włosami zaczesanymi na czoło. Już wówczas było widać, że wyrośnie na osobę pełną woli i energii. Gratuluję Panu takiej córki. Nic Pan nie pisze o Irenie, mojej sympatii. Dla osób tego typu lata dwudzieste są krytyczne. Jak panna Irena te lata przeszła? Czy mieszka razem z Panem na Korei?

Chciałbym bardzo wybrać się jeszcze do Pana, ale podróżowanie przychodzi mi coraz trudniej, i w ciągu najbliższego lata będę miał z tym wiele kłopotu. Ma mianowicie do mnie przyjechać moja bratowa, wdowa po zmarłym bracie Hubercie³, który zostawił 10-letniego syna. Losy tego bardzo uzdolnionego chłopca są dla mnie źródłem troski, i chciałbym go raz przynajmniej zobaczyć.

Najserdeczniejsze wyrazy przyjaźni przesyła Panu, kochany Panie Janku, i Pani Gerdzie szczerze oddany
J.S.

¹ Stanisław Kot, *Jerzy Niemirydz. W 300-lecie ugody hadziackiej*. Paryż 1960.

² Jerzy Niemirydz (1612–1659), podkomorzy kijowski, twórca ugody hadziackiej (1658), na mocy której miało powstać Wielkie Księstwo Ruskie, połączone unią z Polską. Ugodę zniweczył atak wojsk moskiewskich na Ukrainę i powstanie kozackie; Niemirydz i jego zwolennicy zostali wymordowani.

³ Zuzanna Stempowska, żona Huberta Stempowskiego (1897–1962), młodszego brata pisarza. Stempowski wspierał bratową finansowo. Jej przyjazd do Berna nie doszedł do skutku. Wkrótce wyjechała z synem Hubertem do Argentyny. Hubert Stempowski mieszka obecnie w Republice Południowej Afryki.

22.

27.XI.[19]68

Drogi, kochany Panie Janku,

Bardzo byłem wzruszony Pańską zbyt krótką wizytą i dziękuję Panu za nią najserdeczniej. Nie zdążyliśmy opowiedzieć sobie nawet setnej części tego, co mnie zwłaszcza leżało na sercu. Mam nadzieję, że rozmowa nasza została tylko odłożona do wiosny, kiedy i ja wrócę jeszcze do podróżowania. Brak mi go teraz bardzo, ale muszę, czekać cieplejszej pory.

Pani Dieneke, w której ma Pan teraz szczerą przyjaciółkę, mówiła mi, że nie abonuje Pan więcej „Kultury”, bo stała się dla Pana zbyt droga. Tym bardziej oceniam sto złotych, które tak lekkomyślnie zostawił Pan mnie, nie licząc się nawet z własnymi wydatkami w podróży. „Kulturę” będzie Pan odtąd otrzymywał ode mnie, być może tylko trochę nieregularnie. Mam już przygotowanych do przesyłki kilka ostatnich numerów. Brak mi tylko Pańskiego nowego adresu. Proszę mi go przysłać jak najprędzej, żeby „Kultury” nie gromadziły się u mnie ponad miarę, zwłaszcza w okresie przedświątecznym.

Nie jestem pewien, czy dawny adres wystarczy dla tego listu, kończę go więc tu i całuję Pana, kochany Panie Janku, z całego serca, szczerze oddany
J.S.

G. Stempowski
Kalcheggweg 15
3000 Berne

Drogi, kochany Panie Janku,

Trudno mi powiedzieć nawet, ile przyjemności zrobiła mi Pańska wizyta. Nie mogę odżałować, że była tak krótka, i że nie mieliśmy czasu na pomówienie o wielu rzeczach nas obu interesujących. Tymczasem nadszedł Pański list, na który śpieszę odpowiedzieć, aby rozproszyć Pańskie obawy o mnie. Widział mnie Pan w niedobrej formie, ale od tego dnia już się, zdążyłem poprawić. Tak samo moja sytuacja materialna jest zupełnie zadawalniająca. Wciąż jeszcze zarabiam na życie, chodzę do teatru i na wernisaże. Zresztą w moim wieku wydaje się coraz mniej pieniędzy. Dawniej np. wydawałem wiele na podróże, dziś podróżuję niewiele. Gdybym wygrał na loterii 100 000 franków, nie wiedziałbym, co z nimi zrobić. Na siebie wydać bym ich nie potrafił i musiałbym odstąpić je Giedroyciowi lub Panu, który znalazłby na nie lepszy użytek. Jeżeli przyjąłem bez protestu sto złotych od Pana, muszę się z tego wytłumaczyć. Pieniądze te nie były mi potrzebne, ale wzruszyły mnie bardzo jako dowód przyjaźni, na jaki z moich znajomych nikt się dotąd nie zdobył. Chowam je dotąd w portfelu, który noszę na sercu, jako cenną pamiątkę.

Żałuję bardzo, że nie był Pan u nas na obiedzie lub kolacji, aby przekonać się, jak my się tu odżywiamy. Pani Dieneke gotuje sama w stylu holenderskim, z którym żadna z tutejszych restauracji nie może rywalizować. Po każdym kryzysie przybywa mi szybko na wadze. Muszę nawet uważać, aby to nie szło zbyt prędko i nie obciążało zbyt mocno serca. Jeżeli Pan jeszcze kiedyś się tu wybierze, zostanie Pan przez kilka dni i zobaczy Pan, że na starość znalazłem tu najlepsze warunki i niczego innego nie umiałbym sobie życzyć. Dokuczają mi tylko zaburzenie mózgowe, ale na to nie ma lekarstwa. Niech więc Pan wypędzi od siebie wszelką troskę o mnie.

Wiele numerów „Kultury” mam w dwóch egzemplarzach i jeden z nich będę Panu posyłał. Wypożyczone z biblioteki czytają się nie tak dobrze jak własne. Na pierwszy ogień posyłam jednocześnie z tym listem numer wrześniowy z osobliwym utworem Czesława Miłosza *Liturgia Efraima*. Utwór ten przypomniał mi moją własną młodość i formację umysłową. Dzięki przypadkowi w 15-tym roku życia zacząłem czytać autorów z III–VI wieku, pogan i chrześcijan: Juliana Apostotę, Ammiana Marcellina, Claudiana, Augustyna, Orosiusa, Tertulliana, Commodiana z Gazy, Paulina z Pelli i in. Efraima Syryjczyka pamiętam mniej, ale widziałem go wówczas też w *Patrologia Orientalis*. Już wówczas, w 1908, czasy te wydały mi się bardzo podobne do tych, które zdawały się, nadchodzić z XX wiekiem. Lektury te skazywały mnie na samotność, bo nigdy nie widziałem profesora filologii klasycznej, który by — poza Augustynem — czytał któregokolwiek z tych autorów. Nie miałem więc z kim rozmawiać o przedmiocie moich zainteresowań. Ta sama samotność otaczała mnie na uniwersytecie. Wielu miało mnie za głupiego. Dla tych przyczyn wziąłem się do równoległego studiowania medycyny, która dała mi żywy kontakt z młodzieżą moich czasów. Nie wiem zupełnie jak Miłosz trafił do Efraima, którego dość dobrze naśladowuje. Przypuszczam, że niewielu tylko czytelników „Kultury” zrozumie ten utwór Miłosza. Co Pan o nim powie? Jeżeli wyda się Panu nudny i obcy, proszę nie zmuszać się do czytania i nie ukrywać swego zdania. Następne numery „Kultury” będę wysyłał co kilka dni.

Zastanawiam się, skąd w Dortmundzie wzięła się nazwa Oetzalstr. Oetzal jest zamkniętą doliną Tyrolu, gdzie podczas I-ej wojny zamykano honoratorów wyjeżdżających za granicę na 2 miesiące, żeby nie wywozili sekretów. Wielu się wówczas z tą doliną zapoznawało.

Przesyłam Panu, kochany Panie Janku, najserdeczniejsze życzenia, Pani Gerdy rączki całuje, o Irenece myślę, zawsze z najwyższą sympatią, szczerze oddany
J.S.